

EDYTOR: GOSYETA KAPCIA
ZBIORY OSRODKA KARTA

MYŚLI NIEINTERNOWANE

Nr 19

KRAKÓW

IX-X, 1985r. 130 zł.



Afghanistan

W numerze:

● ostatnia część rozważań na temat fałszowania szkolnej wiedzy historycznej autorstwa historyka ukrywającego się pod pseud. Cz. P. ● fragment powieści MAXA BRODY nagrodzonej I nagrodą w dziale nowela-opowiadanie w Konkursie "40 lat później";

a także:

JĘDRZEJ BORUTA uczy nas odróżniać to co na prawdę od tego, co NA NIBY, ● KRYSZ proponuje inne spojrzenie na czeskie filmy, ● CZOP bawi i kształci. ● Publikujemy też wiersze młodego działacza KPN, Witolda TOSIA, który przesłał nam je w lipcu i niestety nie zobaczy już ich w druku - w sierpniu zginął tragicznie.

O fałszowaniu szkolnej wiedzy HISTORYCZNEJ CZ. 3

O mawiane dotąd na gruncie dziejów powszechnych wypaczenia prawdy historycznej jeszcze wyraźniej uwidaczniają się przy analizie tych samych zagadnień w historii Polski.

Przedewszystkim, historia szkolna poświęca zbyt dużo uwagi i wyolbrzymia znaczenie wszelkich ruchów społecznych i rewolucyjnych w Polsce. W rzeczywistości, Rzeczpospolita była państwem stabilnym społecznie, w którym przez wiele stuleci solidaryzm plemienny, międzystanowy, i narodowy /po kolei/ zapobiegał gwałtownym konfliktom wewnętrznym. Zamocność miast i wał /jeszcze w XVI w. okłopi i wałę pożyczali pieniądze królom!/, duży obyczaj państwa, słabe zaludnienie, pluralizm religijny i etniczny - powodowały, że ani ucisk feudalny, ani polityczny nie były zbyt dotkliwe. Toteż, na palcach jednej ręki można by wyliczyć większe konflikty społeczne w Polsce w ciągu dziejów. Trudno do nich zaliczyć nawet powstania kosaćki na Ukrainie, bunt Gorzkowskiego czy Kostki Napierskiego, bo usiłowały jedynie wykorzystać sprzecznosci społeczne, ale ich cel, podłoże i inspiracje były zupełnie inne. To samo trzeba powiedzieć o zaburzeniach w miastach - od buntu wójta Alberta poczynając, a na pogromach żydows-

kich, inspirowanych przez carską Ochronę, kończąc. Tak naprawdę, to mieliśmy w dziejach jeden autentycznie społeczny i polski bunt chłopski, tj. rabację galicyjską w 1846 r. /jak na ironię sprokowaną przez demokratów, a podsyconą przez Austriaków/ i jedną miejską rewolucję w 1905-7 roku /w powiązaniu z rewolucją rosyjską/.

W tej sytuacji, "twórcy historii" z Wydziału Nauk Społecznych KC PZPR i Ministerstwa Oświaty i Wychowania - by być w zgodzie z marksistowską teorią - preparują nam coraz to nowe konflikty i powstania na polskiej wsi i w mieście /powstanie Mikusia, powstanie libuskie, powstanie krakowskie w 1927 itp./. W ich oczach, każdy lokalny zatarg z sołtysem, dziedzicem, dzierżawcą, każdy spór podatkowy czy kupiecki, warcholstwo, zbójnictwo, "zakinada", "strajki" - urastają do roli buntu, powstania lub rewolucji. Historia w marksizmie ma być ilustracją walki klas, nieustannego zderzania się i zaostrzania antagonizmów społecznych /ideologia niewiaści/, w której nie ma miejsca na solidaryzm społeczny i polityczny. Przy takiej interpretacji historii, każda bójka pijanych chłopów w karczmie staje się buntem, a każdy odwet fornała na państwa za uwiedzenie żony - walką klasową!

Odwrotnie niż z walką klasową postępują programy szkolne z dziejami polskiego kościoła. Żaden podręcznik nie usiłuje uczniom wyjaśnić rodowodu historycznego określenia, że "Polak i katolik - to jedno". Zamiast tego przedstawia się argumenty o decydującej roli różnowierców w ruchu egzekucyjnym /XVI w./, rozwoju polskiej nauki i oświaty, w rzemiośle itp. Gdy historyk partyjny lub autor podręcznika musi już napisać oś pochlebnego o kościele katolickim, to zawsze czyni to z pewnym zastrzeżeniem. Pisze więc np., że cystersi i benedyktyni przynieśli do Polski nowoczesną agrokulturę, ale jednocześnie zmuszali ludność do powinności feudalnych. Przyjęcie chrztu przez Mieszka I było dobre, bo wytrącało Niemcom argumenty o nawracaniu Polski i umożliwiało korzystanie z ogólnoeuropejskiego skarbcza kulturowego, ale - dodaje się - niszczyło w zamian rodzimą kulturę słowiańską. Często, omawiając zasługi wybitnych przedstawicieli kościoła takich jak: Kopernik, Konarski, Staszic, Kołłątaj, Piramowicz, K. Miarka itp. - nie podaje się ich przynależności do duchowieństwa lub robi się z nich wolnowyśioliciele. Sposób polowania informacji, proporcje i celowe zniekształcenia dziejów kościoła sugerują uczniom jego negatywną ocenę i niewiele znaczącą rolę w dziejach Polski. Wychodzi na to, że np. arianie, luteranie i kalwini położyli w Polsce większe zasługi niż katolicy, a protestant J. Radziwiłł łącząc się ze Szwedami i tak był lepszym Polakiem niż jezuita ks. P. Skarga.

Wiele zastrzeżeń wywołuje przedstawienie w podręcznikach polskiego wkładu w dzieje powszechne i niewiaściwy dobór kryteriów porównawczych historii Polski z ogólną. Złe dobrane przykłady narzucają uczniom błędne wnioski, a brak niezbędnych porównań zaciemnia prawdę historyczną.

Przykładowo, dla pokazania wielkich osiągnięć przemysłowych PRL w planie sześcioletnim jest chętnie podawana globalna produkcja stali, węgla, energii elektrycznej, ilość nowopowstałych zakładów itp., ale bez rzeczowej skali odniesienia. Bo nie jest nią ani produkcja przedwojennej Polski, ani ilość kg przypadających "na głowę" obywatela. Poza tym, wymieniane wskaźniki osiągnięć nie są miernikiem rozwoju w kraju, gdzie przeszło 60% produkcji przemysłu ciężkiego zużywa się na jego samozaspokojenie.

Podobnie relatywnie przedstawiony jest przebieg działań wojennych w II wojnie. Już podręczniki szkoły podstawowej podają liczbę polskich żołnierzy walczących na różnych frontach wojny i podkreślają, że ta ilość daje nam statystycznie czwarte miejsce w koalicji. Na uzniu sprawia to wrażenie decydującego udziału polskiego w wojnie. Tymczasem nasz rzeczywisty wkład w wojnę, w proporcji do ilości wojsk i potencjału militarnego głównych partnerów, był znikomy /nie przekraczał kilku procent! / i niewiele ważył na jej losach. Zniając prawdziwe proporcje uczeń zrozumiałby bez trudu - dlaczego w sprawie polskiej w II wojnie światowej decydowali inni i rozstrzygali po swojemu, nie licząc się z nami.

Lubiły też, przy każdej okazji, podkreślać "nasze" zwycięstwo w wojnie. A to nie Polska wygrała - bo nie jest zwycięstwem utrata suwerenności, połowy terytorium, 6 mln obywateli i 1/3 substancji materialnej. Prawdą jest tylko to, że wygrała koalicja, w której Polska uczestniczyła.

Polacy samodzielnie walczyli tylko w kampanii wrześniowej, początkującej wojnę. Brali większy udział w kilku bitwach i operacjach /bitwa powietrzna o Anglię, o przełamanie Wału Pomorskiego, obrona Tobruku, Narwiku, Monte Cassino, Falasse, Kołobrzeg.../, które jednak o losach wojny nie rozstrzygały. Tymczasem, w podręcznikach nasz udział w nich urasta do rangi decydującej. Budzi to naszą dumę narodową, ale z prawdą historyczną niewiele ma wspólnego.

Jednocześnie historia szkolna pomija lub pomniejsza znaczenie wojen, bitew i kampanii, w których Polacy rzeczywiście przesądziły o przebiegu zdarzeń i które dla dziejów powszechnych czy losów Europy Środkowo-Wschodniej miały istotne znaczenie. Taki charakter mają np. nasze wojny ze Szwecją, Turcją i Moskwą w XV - XVII w. Niestety, uczenie młodzieży o pierwowzrostanym znaczeniu Polski w tym czasie, o naszym dyktacie politycznym w tej części Europy nie odpowiada historiozofii marksistowskiej i budzi niezadowolnienie "przycioci".

Inny błąd: Podkreślamy np. udział Kościuszki, Pułaskiego i kilkudziesięciu ochotników polskich w wojnie o niepodległość Stanów Zjednoczonych A. P., lub A. Potiebni i kilkunastu Rosjan po stronie powstańców z 1863 r. - ale nie tłumaczymy uczniom, że są to tylko nieliczne przykłady przejścia się postępowymi hasłami Oświecenia czy Romantyzmu i że w żadnym wypadku ów udział nie zdecydował, ani o zwycięstwie Amerykanów, ani o przebiegu Powstania. Czyny odwrotnie, a uczniowie są przekonani, że Polacy wyzwolili USA z niewoli kolonialnej, a w Powstaniu Styczniowym "bracia Rosjanie" walczyli razem "ramię w ramię" z Langiewiczami, Bosakami i Trauguttami. W konsekencji, dorastając, mają pretensje, że USA nie poczyna się do "wiecznej wdzięczności" dla Polaków i nie podaruje nam np. długów. Tym sposobem szerszymy dalej mesjanistyczne utopie - o nadzwyczajnym wkładzie Polaków w dzieje powszechne, o szczególnej misji historycznej "narodu wybranego" i o totalnym niedocenianiu nas przez świat. W rzeczywistości, w obiektywnej historii powszechnej i historii poszczególnych krajów, polski wkład ograniczony jest do właściwych proporcji.

Sprawą, która w nauczaniu historii odgrywa rolę decydującą - jest synteza wydarzeń i poszczególnych etapów procesu dzie-

jowego. Ona najlepiej utrwała wiadomości lekcyjne /fakty i wydarzenia/ i najdłużej pozostaje w umysłach uczniów. Tymczasem, z syntezami jest w nauczaniu historii bardzo źle. Proponowane przez program i podręczniki uogólnienia są, po prostu, fałszywe lub niepotrzebne i mało przekonywające.

Już Macchiavelli określił, że wielkość polityki mierzy się jej skutecznością i dalekowzrocznością. Dlatego, tylko według tych kryteriów można dokonywać obiektywnych syntez historycznych i tylko z nimi zapoznawać uczniów. Ten rodzaj uogólnień i wniosków starał się np. spopularyzować Paweł Jasienica w odniesieniu do dziejów I Rzeczypospolitej. Daremnie jednak szukalibyśmy podobnych syntez w podręcznikach, zwłaszcza do dziejów porzecznych i najnowszych.

Jak już wspomniałem, wiek XIX w historiozofii marksistowskiej rysuje się - jako nieprzerwane i ponure pasmo klęsk i niepotrzebnych zrywów zbrojnych, wynikających z głupoty, poryczości narodowej. A powinniśmy, zgodnie z prawdą, wyjaśnić uczniom, że nasi przodkowie, przegrywając w XIX w. poszczególne kampanie, wygrali całą batalię o przetrwanie i rozwój, a z chaosu I wojny światowej wyłonili się jako nowoczesny, niepodległy naród. Dlatego zarówno spiski i powstania jak i praca organiczna czy zabiegi dyplomatyczne miały sens i nie zasługują na pesymistyczną ocenę.

Jeszcze większy koniunkturalizm i tendencyjność przebija z oficjalnych podsumowań i ocen dziejów polskich w XX w. Zjawiskiem niepożądanym jest również narastanie wokół postaci i wydarzeń, pomijanych lub potępianych przez oficjalną historiografię, gloryfikującej legendy w historiografii niezależnej. Przykładem mogą być np. postaci R. Dmowskiego, J. Piłsudskiego czy W. Witosa. Wiadomo, że Piłsudski - jako naczelnik państwa i wódz naczelny, Dmowski - jako przedstawiciel Polski w Wersalu, Witos - jako szef rządu obrony narodowej i przywódca chłopów polskich - odegrali pozytywną rolę w dziejach Polski. Z pewnością była i pozostaje wielką idea federacji narodów i krajów Europy Środkowo-Wschodniej, wysunięta przez Piłsudskiego czy idea ludowej Polski W. Witosa. Ale na ocenach i syntezach historii międzywojennej musi ważyć również skuteczność i realizacja zamiarów. Tu zaś osiągnięcia są niewielkie - bo nie zbudowano Polski Ludowej, przeżyły koncepcje federacyjne, a co najważniejsze - nie uchroniono państwa przed klęską i utratą suwerenności na nie dającą się przewidzieć liczbę lat. Dlatego ocenę nie może patrzeć na lata 20 i 30-te ani - jak na okres wspaniałych bohaterów "co to Kijów zajmowali", ani - jak choć historiografia marksistowska - jak na ponure czasy sanacji, kiedy "Polska była wielką Berezą". Musi nauczyć się oceniać wydarzenia z dystansu, dostrzegając osiągnięcia /np. w dziedzinie integracji narodowej i wychowania/ i błędy.

Najtrudniej przychodzi, nawet uczonym-historykom, ocenić proces historyczny w czasach najnowszych. Nie można jednak zostawić propagandzie partyjnej wolnej ręki na tym polu, gdyż obraz wydarzeń, jaki stara się tutaj tworzyć, nie pokrywa się nawet z najbardziej oczywistymi faktami.

Nie ulega wątpliwości, że przy ocenie 40-letnich rządów komunistycznych w Polsce, trzeba będzie uwzględnić ich zrzeczenie w manipulowaniu rzeczywistością, społeczeństwem, gospodarką, wia-

dzą itp. Jest bowiem faktem, że znikoma mniejszość, narzucona, w dodatku przez odwiecznego wroga, rządzi nami 40 lat i nie zamierza ustąpić. Doraźnie więc polityka komunistów jest skuteczna, a w niektórych dziedzinach /budowa przemysłu ciężkiego, upowszechnienie oświaty, urbanizacja kraju itp./ może pochwalić się rzeczywistymi osiągnięciami. Ale w dłuższym przedziale czasowym ich rządy przynoszą skutki opłakane, w postaci głębokich kryzysów całego organizmu państwowego. Po każdym przesileniu władza traci potężne oparcie w poszczególnych warstwach społecznych, zniechęcających się definitywnie do "realnego socjalizmu". Z powodu przymusowej kolektywizacji zraziła sobie chłopów, "dyktatura ciemniaków" w epoce Gomułki odsunęła od władzy inteligencję, a Gierek utracił robotników /Ursus, Radom, Wybrzeże/. Izolując się coraz bardziej od społeczeństwa, rządzące ekipy nie potrafiły zapewnić nawet względnego rozwoju materialnego i pod koniec lat 70-tych spowodowały, nie mający precedensu w historii kryzys ekonomiczno-społeczny /największe zadłużenie, katastrofalne braki towarowe, największy spadek produkcji, największe opóźnienie w rozwoju, najsilniejsza fala protestów społecznych itp./, a same od katastrofy ratowały się wprowadzeniem stanu wojennego. Miary kryzysu dopełnia głęboki upadek kultury i nauki.

Równie fatalnie przedstawia się bilans 40-letnich rządów komunistycznych w polityce zagranicznej. Władze nie potrafiły /nie chciały?/ w niczym rozluźnić naszej zależności od ZSRR /pewna liberalizacja stosunków w kraju jest zasługą społeczeństwa, nie władzy! / i zapewnić trwałości bytu państwowego w Europie. Nie doprowadziły do pojednania z Niemcami na gruncie istniejących granic /zagrożenie ze strony Niemiec dla naszych terytoriów zachodnich ciągle istnieje realnie i niezależnie od propagandowych strachów / i zagwarantowania sobie stabilnych stosunków ze Związkiem Radzieckim. Mimo sloganów o przyjaźni - Rosjanie mogą odjąć lub część naszych ziem Niemcom /np. w zamian za ich neutralność / lub okupować Polskę w razie konfliktu wewnętrznego. Polska nie ma dziś sojuszników i nawet do najbliższych sąsiadów - Czechów, Litwinów, Ukraińców, nie udało nam się zbliżyć.

Bilans historyczny 40 lat PRL prezentuje się więc ujemnie i nie zanosi się na to, by rządzący Polską mogli go poprawić. Dlatego właśnie, sprawy krajowe musi ująć w swoje ręce społeczeństwo, tak jak to czyniło już w przeszłości. W tym sensie historia może się stać magistra vitae.

Nasze nauczanie historii, dostosowane do potrzeb partii i rządzących, cierpi na znacznie więcej braków niż moglibyśmy je tu wymienić. Ale artykuł nie jest rejestrem błędów i wypaczeń, tylko próbą pokazania techniki i kryteriów fałszowania historii w szkołach. Dlatego, na zakończenie rozważań, chcemy zwrócić także uwagę na niektóre pozamerytoryczne środki prowadzące do celu.

W pierwszej kolejności należy wymienić język historyczny, który śmiało możemy uznać za klasyczny produkt "nowomowy". Przejęty w spadku po propagandzie, zasilany oficjalną publicystyką i mową potoczną - króluje dziś niepodzielnie w podręcznikach, programach i wypowiedziach nauczycieli historii. Używamy go, nie zdając sobie częściowo sprawy z pierwotnego i właściwego znaczenia pojęć i wyrazów. Nie zastanawiamy się, że ktoś wcześniej, celowo zmienił znaczenie terminów historycznych, by nadać fałszywą wartość i odmiennie zabarwienie uczuciowe. "Zamach, zabój-

stwo, zbrodnia, morderstwo, pozbawienie życia, eliminacja; okupacja, napad, najazd, wkroczenia, przyjsście z pomocą zagrożonej ludności; eksterminacja, ludobójstwo, internowanie, wywiezienie, przesiedlenie, przemieszczenie... - oto przykłady różnicowania znaczeń zaczerpniętych z nowomowy historycznej dla określenia takiego samego postępowania Niemców i Rosjan z Polakami w latach 1939-45. Jak widać, jest to już nowy język, który nadał wydarzeniom własne znaczenie. Bez zastanowienia mówimy "realny socjalizm" /jakby istniał gdzieś socjalizm "nierealny"/, "dyktatura proletariatu", "demokracja socjalistyczna" /choć w samych pojęciach, nie mówiąc o rzeczywistości, tkwi sprzeczność/, "kraje demokracji ludowej", "Polska Rzeczpospolita Ludowa" /czyli, w zgodnym ze znaczeniem tłumaczeniu: "kraje ludokracji ludowej", "polska rzecz publiczna ludowa" / itp. - nie zdając sobie sprawy z bezsensowności tych określeń. Autorem dziwiałogów językowych chodziło widocznie o rozwianie - z góry zakładanych - wątpliwości, jakie będą konkretne wydarzenia określane tym "ludowym" nazewnictwem. Jak na ironię, rządy totalitarne, nie dające obywatelom żadnych możliwości współrządzenia nazywają się "ludowymi" lub "demokratycznymi"; wrogie niepodległej Polsce organizacje kolaborantów z sąsiadami, przyjmują miano "patriotycznych" lub "polskich"; komitety służące uzależnieniu od ZSRR nazwano "wyzwoleńczymi", a destabilizujące kraj - "ocaleniowymi" /np. Związek Patriotów Polskich, PKWN, PRL, OKON, WROK, PRON.../.

Nie jest naszym celem analizowanie naukowego stanu wiedzy historycznej ani administracyjno-oświatowych warunków nauczania w szkołach. Tym niemniej, nie sposób pominąć przy omawianiu programów i nauki historii w szkołach, roli ludzi piszących historię - uczonych i autorów podręczników, i przekazujących ją uczniom tj. nauczycieli.

Historia jest nauką społeczną i ideologiczną przez co szczególnie niebezpieczną i wymagającą wyjątkowej czujności aparatu partyjnego. Nie brak więc w niej dspepcyjnych lub "nawiedzonych" uczonych i pracowników nauki, godzących się na jej różnorodne fałszerstwa. Oni szybciej awansują, mają pierwszeństwo w publikacjach, ułatwiony dostęp do archiwów i środków masowego przekazu. Sprawia to wrażenie /wśród nieorientowanych/, że ci historycy tworzą czołówkę, a ich sądy, opinie i ustalenia są rzetelne i prawdziwe. Ich autorytetem podpira się też propaganda, działacze i lektorzy partyjni. W rezultacie, odbiorca przywykły dawać wiarę "uznanym słowom" - bierze "historyka dworskiego", celowo fałszującego historię tak jak Włodzimierz Kowalski - za wyrocznie!

Szkodę nauce historii wyrządzają również rzetelni badacze, którzy godzą się na autocenzurę lub ograniczenia - prezentując i publikując tylko część znanej sobie prawdy. Nauczyciel lub czytelnik, polegający na solidności nazwiska, nie znajdując w danej publikacji istotnych /a pominiętych z braku odwagi/ spraw, skłonny jest uwierzyć, że w ogóle nie istniały. Taki np. "grzech historyczny" popełnia prof. H. Batowski w opracowaniach dotyczących schyłku II Rzeczpospolitej.

Jeszcze gorzej wygląda sprawa z autorami podręczników. Wiadomo, że nie piszą ich historycy wyspecjalizowani w wąskich tematach, bo się na całości nie znają lub piszą dla szkół nie po troszę. Większość nie godzi się na ograniczenia cenzuralne lub uważa pisanie podręczników za czasochłonne, nieopłacalne. Podręcz-

niki piszą więc przeważnie młodzi historycy, nauczyciele i urzędnicy oświatowi, co to na wszystkim się znają, ale powierzchownie.

Siabością historii dla szkół jest fakt, że wyniki naukowych ustaleń docierają do podręczników z wieloletnim opóźnieniem /nim prawda zostanie odkryta, zweryfikowana, dopuszczona przez cenzurę, uznana za godną podręcznika - mijają lata/. Poza tym Wydział Nauk Społecznych KC PZPR i Ministerstwo Oświaty i Wychowania stawiają przed autorem te wszystkie warunki, które w wiadomy sposób ograniczają prawdę historyczną. Autor pisze więc nie tak, jakby chciał, i jak wymaga uczciwość naukowa, ale tylko tak, jak życzy sobie sponsor. A nauczyciele biorą potem brednie podręcznikowe za dobrą monetę i przekazują uczniom.

Ogniwem ostatnim, ale za to najważniejszym, tak w procesie fałszowania historii, jak i jej uczenia - jest sam nauczyciel. Od niego ostatecznie zależy - czy cała misterna praca fałszerzy historii przyniesie rezultat, czy spali na panewce. Jeśli będzie: solidnie przygotowany pod względem merytorycznym /rzetelną wiedzą, własne pomoce do nauki itp./, uczciwy i obiektywny w poglądach, odważny i niezależny - mimo wszystko, przekaże uczniom własny pogląd na historię. Ogół czynnych nauczycieli historii - to wychowankowie wszystkich powojennych etapów jej nauczania. Mają więc taką wiedzę i historiozofię - jaką nabyli w trakcie nauki, studiów, pracy i dokształcania /własnego i urzędowego/. Dodajmy - w większości wiedzy małą, niepełną i fałszywą.

Żle jest również z ich odpornością na wszechstronną presję wywieraną na nich w szkole. Historyk znajduje się w centrum uwagi różnorodnych "czynników". W pojęciu władzy ma być głównym obrońcą linii politycznej rządu, rzecznikiem oficjalnej propagandy i animatorem "ideowego wychowania". Nie może budzić zastrzeżeń ideologicznych i musi świecić przykładem lojalności. W rezultacie bywa tylko najbardziej zagubionym i maltretowanym nauczycielem w szkole.

Pocieszające jest jednak to, że od sierpnia 1980 sam zaczął zdawać sobie sprawę ze swej roli i ubezwłasnowolnienia. Nieprzypadkowo, na ostatnim powszechnym, XIII Zjeździe Historyków w Poznaniu /6-9. IX. 1984/, na sympozjum poświęconym etyce zawodu nauczyciela historii zgromadziło się /w ostatnim dniu obrad/ ok. 600 profesorów, nauczycieli, uczniów i intelektualistów. Obrady miały bulwersujący przebieg, a wnioski z nich nastawiają optymistycznie. Znamienne, że w czasie obrad nauczyciele wygadzali /dosłownie/ przedstawiciela poznańskiego kuratorium, który usiłował usprawiedliwić oflojalne fałszowanie historii przysłowiem o wielu prawdach /"są prawdy, które mędrzec mówi całemu ludowi; takie, które szepce swemu narodowi; takie, które mówi przyjacielom domu; i są takie, o których nie mówi nikomu"/.

Końcowe wnioski z powyższych rozważań będą więc konkretne:

1. Trzeba kontynuować walkę o prawdę historyczną w podręcznikach, programach i całym nauczaniu lekcyjnym. Oficjalne nauczanie pozostanie zawsze najważniejszą i najskuteczniejszą formą wychowania historycznego narodu.
2. Dobry i niezależny nauczyciel historii jest niezastąpiony i nikt nie jest w stanie go wyręczyć. Ale nie może pozostać sam.

Musimy mu przybliżyć wyniki badań naukowych, uczyć, dostarczać potrzebnych materiałów i pomocy.

3. Uzupełnieniem luki w edukacji historycznej, poprawianiem błędów i zbijaniem fałszerstw oficjalnej historiografii powinna się zająć niezależna oświata.

Sądzę, że równoczesne wysiłki w tych trzech płaszczyznach są w stanie zapewnić prawidłową edukację historyczną Polaków.

Cz.P.

➔ Kącik samouka ➔

Czytelnikom, którzy przerwali w pół zdania lekturę uroczej książeczki Szczęsnego Trzymalskiego /WMN 198 / pod wpływem mowy sejmowej generała Cze-Ka oraz, hmm, modernizacji polskiego prawa karnego, choć donieść uprzejmie, że samokształcenie nie wymaga bynajmniej sięgania po publikacje "drugiego obiegu" i podejmowania związanego z tym ryzyka trafiania do socjalistycznych lochów.

Możliwości legalnego i owocnego pogłębiania wiedzy są w zasięgu ręki każdego, nawet najtrwożliwszego obywatela, jeśli tylko zechce się rozzejrzeć.

Na początek pozwalam sobie zarekomendować wychodzący już od lat dwudziestu organ Zarządu Kultury i Oświaty Głównego Zarządu Politycznego WP p.t. "Kultura i Oświata - Czasopismo wojskowych działaczy kultury".

Nieporównanie zabawniejsze od "Kraju Rad", choć wydawane na gorszym papierze, dostarczyć może owo Czasopismo interesujących wiadomości z różnych dziedzin. Oto dowód:

W numerze 1/81/ z 1985 r. - ISSN 0324/8798 - Ppłk dr Edmund Szweda tak pisze w artykule p.t. "Zarys historyczny kształtowania się instytucji oficerów politycznych":

"Oficer armii przedwrześniowej, w tym i oficer oświatowy, musiał odznaczać się następującymi cechami i umiejętnościami: doskonałą znajomością swego zawodu, wiedzą i umiejętnościami pedagogicznymi, niezbędnymi w nauczaniu i wychowaniu żołnierzy, pewnością siebie i umiejętnością panowania nad sobą, zdyscyplinowaniem, stanowczością, umiejętnością podejmowania decyzji, obowiązkowością, poczuciem honoru, ambicją, prawością, koleżeństwem, słownością i wzorową prezencją. /.../ Formułując ideał oficera politycznego LWP nie można było sięgać do wzorców osobowych, które miały zastosowanie w armii o całkowiocie odmiennym charakterze klasowym. Dlatego też głównym źródłem w tym zakresie były tradycje /.../ komisarzy wojskowych w Armii Czerwonej /.../"

No i co? Mała rzecz, a cięższy... I to najlegalsiej w świecie!

P. S. Proszę nie przekazywać części honorarium należnej za przytoczony cytat jego Autorowi - niechże pisze dalej!

CZOP

NA NIBY ...

1. Z czego się to wzięło?

Politolodzy fenomen ten określają "nadrzeczywistością" /"nierzeczywistością"/, a opisowo-komunikacyjny środek jego obalugi - "nowomową". Chodzi o byt pozorny, ale "realny" w szczególnym - by tak rzec - propagandowo-imaginacyjnym wymiarze. Mamy tu do czynienia z gigantyczną mistyfikacją, dzieckiem epoki rozpoczętej w październiku 1917. Przejęcie władzy przez Łolszewików na 1/6 globu stanowić miało dziejowy przełom, przeskok z "królestwa konieczności w królestwo wolności", likwidację plag i konfliktów, początek cudownej wewnątrz- i międzyludzkiej harmonii. Niestety. Okazało się, że łatwiej ludzkość wytepić aniżeli wyzwolić z trapiących ją nieszczęść.

Historia komunizmu stosowanego to nieuchronna degradacja idei, której podmiotem nigdy nie był człowiek lecz wydumane przez nieodpowiedzialnych fantastów Historyczne Prawidłowości. Co warte były pomysły Marksa, udowodnili ich wykonawcy: fanatyk-doktryner Lenin i cyniczny mały Gruzin. W Rosji dokonana się weryfikacja marksistowskiej doktryny, doszło do ujawnienia jej obiektywnego sensu, niezależnie od subiektywnych złudzeń jej zwolenników, bowiem krwawe represje i masowe mordy nie były epizodem czy też - jak się pocieszało - "bólami porodowymi" nowego raju. Stało się tak, jak się stać musiało: poruszony kamień spowodował lawinę, jeden gwałt rodził następny, a terror-"narzędzie" stał się terrorem-celom.

Z wielkich epokowych zamierzeń nie zostało nic. Nawet więcej: dzisiaj jesteśmy od nich dalsi niż kiedykolwiek, a teoria "realso-cjalizmu" to objaw sohyikowości doktryny i jej defensywnego stadium. Już nie o "świetlaną przyszłość" chodzi, lecz obronę politycznego stanu posiadania rządzącej klikki. W łeb wzięły radosne futurologiczne wizje. W uchwalonym na XXII zjeździe KPZR /1961/ programie komunizm przewidziano na rok 1980, co było i tak spóźnieniem w stosunku do Lenina, przewidującego ukończenie socjalistycznego gmachu do - najdalej! - 1920, a komunizmu do 1940 roku. Że komunizm jest bujdą, dziś wie każde dziecko, nie wyłączaając nawet przywódców KPZR, a w ZSRR mówi się już tylko o "wierze" w komunistyczne ideały. Proszę zauważyć: nie wiara, lecz wiara i to u wyznawców "naukowego" światopoglądu. Prawie półtora wieku temu Marksa straszyl Europę widmem komunizmu. Zdaje się, że widmem pozostaje on po wsze czasy.

2. Jak to się kręci?

Jak powinien postąpić wyznawca przegranej idei, w imię której przejął władzę? Najlogiczniej zrezygnować z idei i władzy, ale zbyt to prostackie, a historia nie zna przypadków dobrowolnej rezygnacji z przywilejów. Wyjście jest więc jedno: twierdzenie, że nierealny cel jest realizowany, negacja oczywistości i tworzenia fikcji. Mistyfikacją jest nie tylko komunizm, lecz i jego wstępna faza - socjalizm, bo żadne z jego założeń nie doczekało się spełnienia. Pozostaje tylko zabawa w słówka, w "doskonalenie", "pogiębianie" i "podnoszenie na wyższy poziom" czegoś nieistniejącego, a co i tak - podobno - jest już doskonale, głęboko, rozwinięte.

Globalne kłamstwo real socjalizmu i "budowy" komunizmu jest sumą kłamstw cząstkowych - cegiełek systemu, zapewniających jego propagandową spójność, gwarantowaną nadto monopolem informacyjnym i cenzurą, wskutek czego łatwiej tworzyć iluzję istnienia czegoś, co nie istnieje i "zakazywać" to, co jest.

Rozważmy to na paru przykładach. Od 40-tu lat karmieni jesteście informacją, iż podstawą naszego państwowego bytu jest przyjaźń narodów Polski i ZSRR. Jak ona w praktyce wygląda, wiedzą turyści jadący tranzytem przez kawałek radzieckiego terytorium: drogi gęsto odizolowane drzewami, niezliczone patrole milicji, agenci w cywilu. Żadnych zbieżności z trasy i kontaktów z "przyjaciółkami"! A ile trzeba zachodu, by pojechać na grób rodziców do Wilna, Lwowa lub spotkać się z żyjącym tam bratem lub siostrą! Na Zachodzie granice państw istnieją tylko symbolicznie, mieszkańiec Bomu w dowolnym momencie robi sobie wypad do Paryża lub Londynu, podróżuje się bez zaproszeń i ponizającego zabiegania o paszport /ankiety, formularze, krewni za granicą/, który jest tu o czymś w rodzaju biletu miesięcznego. I nikt nie trąbi o "przyjaźni narodów", nie słychać, by z Paryża do Brukseli organizowano "sztafety" czy "pociągi przyjaźni", by istniała potrzeba kosztownych "towarzystw przyjaźni" z ich potężnym aparatem i fikoją sprawozdań.

Real socjalizm zbudowany jest na swoistej "relacji odwrotności": im więcej czegoś w teorii i propagandzie, tym mniej w życiu. I odwrotnie. Nie dziwota, iż komiczna "nauka" - prakseologia /sztuka skutecznego działania/ zrodzić się mogła tylko w klimacie notorycznego lekceważenia postulowanej przez nią praktyki, wszak tęsknota za czymś nierealnym to potężny stymulator wyobraźni! O "dobrej robocie" obroniono u nas wiele doktoratów i habilitacji, w czym daleko wyprzedziliśmy Japonię i USA. Należy jednak bezstronnie stwierdzić, iż obiektem największej adoracji i religijnego niemal kultu praca stała się w ZSRR, gdzie jest żelaznym tematem literatury, filmu, dydaktyki i oracji przywódców politycznych. Ta fascynacja przejawia się już w języku, bo społeczeństwo radzieckie to wyjątkowo "świat pracy" /"masy pracujące"/, a jego poszczególne warstwy też nie czynią sobie z pracy tylko "pracy", o czym świadczą takie pojęcia, jak: "ohpustwo pracujące", "inteligencja pracująca" itp. Gdzie się nie ruszysz: praca, zobowiązania, czyny produkcyjne. Praca to również duma i szacunek. Przymusowy zresztą, co gwarantuje odnośna ustawa.

Kłopot tylko z praktyką, co widać dosłownie na każdym kroku. Użytkownicy radzieckich osamowierzyli wiedzą, iż ich jakość - czasem wręcz tragiczna - nie pozostaje w żadnej relacji do szwajcarskich, choć te "arozdziała" precyzyjnie są wytwarzane zawsze przez "krasnoznamienne" /odznaczony orderem Czerwonego Sztandaru/ fabryki, wyróżniane za "wyniki produkcyjne" i "postawę" ?? załogi. Nikt się nie dziwi, że w Szwajcarii nikt nie wpadł na podobny pomysł, bo gdzie jest pod dostatkiem i dobrej jakości towarów, nie ma sensu gadanie o pracy, odznaczanie za pracę, wymyślanie tytułów, sztandarów przechodnich i innych głupawych imprez.

A teraz z nieco innej strony. Słowo "totalitaryzm" jakoś tak automatycznie "pachnie" u nas pałką, więzieniem i terrorem, choć przecież bezprawie nie jest monopolem komunizmu i nie każda tyrania /fasyzm, cywilna lub wojskowa dyktatura/ musi mieć cechy totalitarne /np. nazywanie autokratycznych rządów Piłsudskiego "totalitarnymi", jak to niedawno nożyła "Trybuna Ludu", jest nie tylko bezdurną ale i celową dezinformacją/, bo jest to zjawisko nie-

powtarzalne. W nazistowskich Niemczech dyrektorem fabryki można było zostać nie będąc członkiem NSDAP, a szef młeczarni nie musiał zabiegać o rekomendację rządzącej partii. Gdzie indziej jest zupełnie inaczej, dlatego sensowniej i dokładniej - również etymologicznie /iac. totus, totalis - całkowity/ - traktować totalitaryzm jako, poza jego oczywistą represyjnością, wszechogarniającą ingerencją aparatu biurokratycznego we wszystkie dziedziny życia. Fikcja ustrojowa owocuje w mieście wszechkompetencji, co rzadziej niebawem absurdy i pogwałcenie zdrowego rozsądku, określane w potocznym języku dosadnym słowem - "burdel".

Od lat słyszymy, iż partia ze swej orlejskiej wysokości widzi tylko strategiczne cele "rozwoju" /!/. Wierzę w to wszystko i dlatego w pamięci szczególnie utkwiły mi dwa tematy, nad którymi kiedyś obradowało biuro polityczne ppzpr: jesienne zaopatrzenie ludności w ziemniaki oraz posezonna wyprzedaż odzieżowych bubli. Partia otacza swą troską wszystkich i wszystko, interesuje się każdym ziemniakiem i podartymi majtkami. W sytuacji tej wszechtroski nie ma rzeczy ideologicznie neutralnych, zaciera się różnica między polityką, strategią i taktyką. Wszystko jest niesłychanie ważne i "zaangażowane". Czyli - totalitaryzm na odczucie.

Inny aspekt sprawy. Co byśmy powiedzieli, gdyby prezydent Reagan wygłosił przemówienie na temat... żniw w swym kraju, wzywał farmerów o przyspieszenie prac, dosuszanie ziarna, a partia republikanów obradowałaby nad sznurkiem kombajnowym i brakiem części zamiennych do maszyn żniwnych. Uznalibyśmy zgodnie, że wszyscy tam za oceanem powariowali. I słusznie, choć w Kraju Rad co innego jest normą, panują tam całkowicie odmienne obyczaje, a świętym wzorem jest Lenin ze swą wzruszającą troską o produkcję waleńków i prynasów spirytusowych. Żniwa w tym kraju są przedmiotem zasadniczych przemówień, to sprawa całego narodu: wojsko, uczniowie, studenci, robotnicy, urzędnicy biorą udział w "bitwie o chleb". Wyniki znamy. Gdzie wszyscy do wszystkiego są mobilizowani, nikt nie robi tego, co do niego należy. Normalne kraje nie znają czegoś takiego, jak "bohater" czy "przodownik" pracy. Nie jest tajemnicą, iż w ZSRR tego rodzaju bohaterem zostaje się ze względu na punktualność i umiarkowane picie. I nie ma się ożemu dziwić: skoro wszyscy chleją, trzeba do prawdy tytanicznej woli, by sobie odmówić i postawa to tyleż "bohaterska" co i "ofiarna"!

Albo przykładzik innego rodzaju. Tragiczna sytuacja naszego szpitalnictwa. Dla wielu matek nie istnieje możliwość poważnej opieki lekarskiej, o czym świadczą rekordowe w skali europejskiej zgony niemowląt. To prawda, ale "za to" mamy Szpital Centrum Zdrowia Dziecka, a w perspektywie - Matka Polka. Brakuje tylko Centrum Ojca Polaka, a może i - Centrum Babciej i Dziadka. Trudno negocjować sens budowy warszawskiego Dworca Centralnego, ale warto podumać, jak pogiębił on katastrofę kolejnictwa. Można było taniej i mądrzej, ale budowa była polityczną pokazówką, uświetniającą otwarcie zjazdu partii. Są to koszty tzw. "priorytetów", motywowanych względami propagandowymi, pociągające niesłychane marnotrawstwo, dezorganizację i pogłębiające podstawowe zaniedbania w danej dziedzinie. Musi jednak być centralnie, priorytetowo, pomnikowo, symbolicznie. By w błyskach fleszy i kamer - najlepiej z okazji 22 lipca - przecinać wstęgę i demonstrować "troskę partii i rządu". A potem mieć co pokazywać zagranicznym gościom i zbiorowym wycieczkom w charakterze "programu wychowawczego". Swoją drogą ileż treści w tym pojęciu: "centrum zdrowia"! Od razu widzimy, że w socjalistycznym państwie zdrowie ma swe "centrum"

i "peryferie". Na Zachodzie przez oudzoziemców może być zwiedzany każdy szpital, u nas do większości nie należałoby wpuszczać przede wszystkim chorych. W tej sytuacji konieczne jest coś na pokaz.

3. Jak z tego wyjść ?

Coś się jednak zmienia. Wprawdzie jeszcze nie w ustrojowej "bazie", ale w społeczno-świadomościowej "nadbudowie". Od Sierpnia dokonała się u nas jakaś dziwna przemiana, wyraźniej widzimy, że realizm i socjalizm to czytała lipa, rewia fasad i sloganów, rozumie my, ile szkód przynosi kłamstwo jako norma życia publicznego, jak procentuje ono nie tylko w apustoszeniach duchowych, ale nawet wymiernych faktach ekonomicznych. Dostrzegamy, iż hasła i propagandowe mity mają charakter zastępczo-kompensacyjny: zamiast pracy - kult pracy, demokracji - paplanina o ludowladztwie i pseudoprzedstawicielstwo, zamiast autentycznego pokoju - "walka o pokój" /jak np. w Afganistanie/.

Truizmem powszechnym jest to, że szczere uczucia nie dają się pogodzić z dętą celebrawą i biurokratyczną obrzędowością. Do dziś wielu z nas ma w pamięci smak chleba wypiekanego z amerykańskiej maki w ciężkich powojennych latach. A tłuszcz, odżywki, lekarstwa, odzież? Był to bezcenny i szlachetny gest nieznanych ludzi, o którym nie zapominamy, choć wiele zrobiono, byśmy zapomnieli. W tym samym czasie "bratnia i bezinteresowna" pomoc ZSRR dla nas polegała na szkoleniu kadry UB i bezwzględnej grabieży i tak już zrujnowanego kraju. A ta pomoc najświeższej daty, po 81 roku? Piękne ludzkie odruchy to rzecz normalna w normalnym społeczeństwie nie poddanym tresurze ogupiającej ideologii. A przecież tam, skąd pomoc nadchodzi i wołaż - nie tylko dla nas - nadchodzi jakoś nie słychać o transparentach, wiecowych przemówieniach i okrzykach na cześć przyjaźni. To oczywiście: gdyby to było, nie byłoby żadnej pomocy. Bo takie rzeczy są zawsze "zamiast" tego, co głoszą. "Związek Radziecki nie zostawi nigdy w biedzie bratniego narodu polskiego" - wielokrotnie słyszeliśmy w Moskwie. I nie zostawił, o czym świadczyły niekończące się manewry, koncentracje wojsk na granicy i słowne pogrożki. Ale żaden potrzebujący starszerek czy chore dziecko nie widziało i nigdy nie zobaczy ani jednej puszki mleka ze Związku Radzieckiego!

Bierne uleganie propagandowym bzdurom demoralizuje nie tylko jednostki, zakłóca też współzycie narodów, rodzi konflikty, frustracje i nieufność. Obserwatorzy Olimpiady-80 byli zaszokowani szowinizmem moskiewskiej publiczności, reakcją na który był słynny "gest Kozakiewiczza". Inaczej być nie może, a dziesięciolecia edukacji w "internacjonalizmie" musiały pozostawić jakiś ślad. Natrętne przekarmianie przyjaźnią rodzi spontaniczną wrogość i odruchy wymiotne na sam widok etatowych przyjaźni. Nikogo nie dziwi, że nieporównanie łatwiej nawiązać nam kontakt z Niemcem zachodnim aniżeli wschodnim, z Amerykaninem niż Rosjaninem. Bo nie przeszkadzają nam tu żadne "obchody" ani "dekady", od których na kilometr jedzie zakłamanie.

Na szczęście coraz więcej z nas ma dość modłów, "ślubowań" i wiernopoddańczych deklaracji na cześć partii i socjalizmu, nie robimy tego, co dawniej robiliśmy jakoś tak mimowoli. A więc "nie" majowym spodem, pseudowizżkiem, pokazowym imprezom. Wielu po raz

pierwszy odważyło się nie pójść do urn 13 października. Są i tacy, co poszli, ale mówią, że nie byli. Dobrze i to! Mój znajomy oddał niedawno legitymację partyjną. Wahał się chłop ładnych parę lat, choć bardzo go to męczyło. Spotkałem go niedawno zaskoczony jego promiennym wyglądem. "Wiesz stary - zwierzył się - oo za cudowne i fajne uczucie! Już dla tego samego warto było do partii wstąpić, by móc przeżyć moment rozstania z nią".

Nie many jeszcze wolności politycznej, ale jej warunkiem jest wolność wewnętrzna. A ona nie kosztuje znów tak dużo. Wystarczy chociaż i mieć oczy otwarte. Wtedy łatwo odróżnia się to, co jest na niby od spraw na serio.

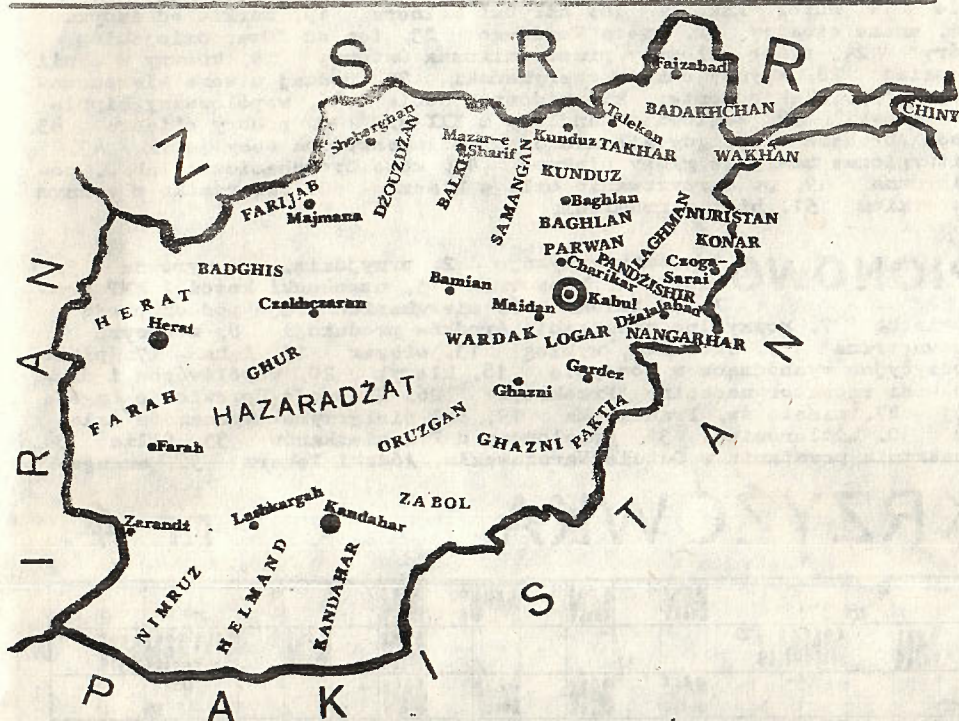
Jędrzej Boruta

AFGANISTAN

RYS HISTORYCZNY CZ.1

Moment powstania państwa Afganistan przyjmuje się rok 1747, kiedy plemiona pasztuńskie /lud z grupy wschodnioirańskiej/ pod wodzą Ahmad-szaha Durraniego /1747-72/ zaczęły podporządkowywać sobie ziemie leżące na styku byłego perskiego państwa Safawidów, indyjskiego - Wielkich Mongołów i centralnoazjatyckiego - Uzbeków. Największy zasięg terytorialny miał Afganistan za swego założyciela, kiedy to na południu sięgał po Morze Arabskie, na wschodzie - po Lahore i Srinagar, na zachodzie obejmował irański Chorasán z Maszhadem i Niszapuram. Potem, do ponownego zjednoczenia przez Abdo-r-Rahmana /1880-1901/, Afganistan był konglomeratem rywalizujących ze sobą księstwów plemiennych /na północy - niepaztuńskich/, z kilkoma ważnymi ośrodkami: początkowo głównym z nich był Kandahar, później - Kabul.

Mimo politycznej i liczebnej dominacji Pasztuńców /ok. 40 % ludności/, Afganistan jest krajem bardzo zróżnicowanym etnicznie. Żyje tu: mówiąca różnymi dialektami języka perskiego ludność etnicznie irańska /na północy określana terminem "Tadżik"/, perskojęzyczne dziś ludy etnicznie nieirańskie /Hazarowie mongolskiego pochodzenia, Ajmacy - tureckie, wschodnioirańscy Baludźowie, ludy tureckie - Uzbegy, Turkmeni, do 1979 - Kirgizi/; bardzo archaiczna ludność indoirańska w Nuristanie, drawidyjska grupa Brahui, różne grupy pochodzenia indyjskiego i in./. Religia większości jest islam sunnicki /zwartą mniejszość szyicką stanowią Hazarowie, szyizm wyznaje część perskojęzycznej ludności Kabulu i Heratu, szyizm ismaelicki część mieszkańców Badachschanu/. W Kabulu i innych dużych miastach żyją wyznawcy hinduizmu i sikhizmu, niewielni Żydzi i zoroastryjczycy, w Nuristanie, nawróconym na Islam w końcu XIX wieku, trwają przeżytki kultów pogańskich. Językiem kultury i powszechnego porozumienia jest nadal język perski, mimo odgórnym usiłowań narzucenia paszto jako języka oficjalnego, jako "dari" /dworski/, co ma podkreślić jego wyższość i odrębność względem perszczyzny Iranu. Społeczeństwo Afganistanu jest przywiązane do tradycji, bardzo konserwatywne kulturowo i chybcozajowo, stopień



uprzemysłowienia i okcydentalizacji kraju jest nieznaczny, większość jego zasobów geologicznych jeszcze nie zbadana, przeważa prymitywna gospodarka rolniczo-pasterska /mimo to Afganistan był przed rewolucją 1978 krajem niemal samowystarczalnym pod względem żywności/. Analfabetyzm w Afganistanie sięga ok. 90%. Plemiona - pasztuńskie, beludżyjskie i inne nadal koczują, struktura społeczna /także przeważnie u ludności osiadłej/ zachowała charakter plemiennie-rodowy.

W wieku XIX Afganistan stał się państwem buforowym między strefami angielskiej i rosyjskiej ekspansji kolonialnej, a jego losy uzależnione zostały od rywalizacji tych dwóch mocarstw. Od lat 30-tych Rosjanie systematycznie podbijają chaty Azji Centralnej, posuwając się ku Amu-darii, nasila się ich ingerencja w sprawy Persji i Afganistanu. W reakcji na posunięcia rosyjskie Brytyjczycy dwukrotnie najeżdżają Afganistan ze swych posiadłości indyjskich i okupują go /1839-42 i 1878-80/. Oba razy zbrojny opór Afganów zmusza ich do wycofania się, lecz Afganistan zostaje uzależniony politycznie od Imperium Brytyjskiego /traktatem z Gandamak 1878/ i na stałe traci na jego rzecz część ziem etnicznie pasztuńskich /obecnie Północno-Zachodnia Prowinca Graniczna Pakistanu - NWFP/. Wojny anglo-afgańskie stały się częścią mitologii narodowej Afganistanu. W tym okresie ukształtowało się swego rodzaju ponadplemienne poczucie wspólnoty narodowej i patriotyzmu afgańskiego, ale też - ogromna nienawiść do Anglików, trwająca do czasów

lioki duchowny 37. filozofia uznająca Boga jedynie jako Stwórcę
 39. próba złotnicza 41. miasto nad Nilem z zaporą wodną 42. motyw
 zdobniczy w sztuce starożytnej 44. np. wydechowa 46. remis.

U w a g a : cyfry w prawych dolnych rogach kratek uszeregowane od
 1 do 36 utworzą hasło - myśl W. S. Maughama - dodatko-
 we rozwiązanie krzyżówki.

Rozwiązania /oznaczone godiem/ prosimy przysyłać przez kolporterów do
 dnia 1 grudnia 85, załączając np. połowę widokówki /drugą połowę pro-
 simy zachować/. Wśród Czytelników, którzy nadesłali prawidłowe rozwiąza-
 nie krzyżówki i hasła zostaną rozlosowane interesujące książki.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI nr 3

POZIOMO 1. Jasienica 9. Kontakt 13. generacja 15. Herbert
 16. nostalgia 17. Mao Ce-Tung 18. Wujec 19. denat
 20. Jaromir 21. turma 23. nui 24. dramat 26.
 Santi 28. Twain 29. agapa 30. Prus 32. Zmory 35. molojiec 38.
 Ziy 39. Czeka 40. Argumenty 41. wybory 4. trybuny 46. azejik
 48. Zawieyski 49. usta 50. Tili 51. kapucyn 52. Kazan 53. oda
 54. Tora 55. Cham

PIONOWO 1. Jehowita 2. Seraj 3. elekcja 4. interogacja
 5. Agamemnon 6. Anno 7. Friedman 8. wczuwanie
 9. koszer 10. neandertalczyk 11. argon 12. trak-
 taty 14. Angielka 22. rozum 25. Montelupich 26. szmuglerka
 27. nary 30. prowizja 31. Soso 33. Rem 34. pacyfizm 36. Cas-
 sino 37. Anzyc 38. Zygmunt 42. biwak 43. rzecz 44. Tatar
 45. Asau 47. kapo.

h a s ł o : "CZAS ROBI SWOJE, A TY, CZŁOWIEKU?" - Lec.

Za poprawne rozwiązanie krzyżówki nr 3 nagrodę otrzymuje "KOWALSKI".
 Jest nią książka Józefa Piłsudskiego "Pisma".

SOS

obecnych i częste przenoszona na Amerykanów. Rosjanie nie działali w sposób tak ostentacyjny jak Anglicy. Formalnie Rosja uznała dominację brytyjską w Afganistanie i zrzekła się tam swoich wpływów /porozumienie anglo-rosyjskie z roku 1878, potwierdzone konwencją petersburską z 1907/, mimo to nie przestała w sprawy afgańskie ingerować /rozgrywki sukcesyjne, konflikty na tle wytyczenia granic/. W roku 1885 Rosja zaanektowała afgańską oazę Pandždeh /na północ od Heratu/ - bez reakcji ze strony Wielkiej Brytanii.

Rosja sowiecka kontynuuje carską politykę kolonialną. Wpływy Rosjan wzrosły, gdy po proklamowaniu niezawisłości i po III wojnie anglo-afgańskiej /wiosną 1919/ nowy emir Aman-ol-Lah-chań ogłosił Afganistan krajem neutralnym i przedstawił szeroki program reform zmierzających do modernizacji kraju. Antybrytyjskiego i postępowego króla uznali bolszewicy za swego naturalnego sprzymierzeńca. Do wymiany misji dyplomatycznych doszło już jesienią 1919, do podpisania traktatu o przyjaźni i współpracy z ZSRR /pierwszego międzynarodowego traktatu niezależnego Afganistanu/ - w roku 1921. /Równocześnie bolszewicy krwawo pacyfikowali Azję Centralną po swojej stronie Amu-darii, latem 1920 zbombardowali z samolotów i zdobyli ostatecznie Bucharę./ Traktat o neutralności i nieagresji z ZSRR został podpisany w r. 1926 i potwierdzony w 1931. Miało to związek z antybolszewickim powstaniem muzułmanów Azji Centralnej /tzw. "basmaczy", którzy szukali pomocy w Afganistanie. Zgodnie z traktatem, rząd afgański nie udzielał im pomocy militarnej / w r. 1931 podjął akcję zbrojną przeciw powstańcom działającym z terenów północnego Afganistanu/, ale przyjmował uchodźców /w latach 1924-38 ponad 0,5 mln/, udzielił też azylu emirowi Buchary. Indywidualni ochotnicy afgańscy brali udział w powstaniu basmaczy.

Radziecka pomoc gospodarcza dla Afganistanu w latach 20-tych obejmowała między innymi organizację lotnictwa, budowę dróg i linii telegraficznych. Istniała regularna łączność lotnicza Kabul-Taszkent i rosyjskie placówki konsularne w głównych miastach północnego Afganistanu. Najważniejszym partnerem handlowym Afganistanu była przed wojną radziecka Azja Centralna.

Wpływy radzieckie w Afganistanie uległy pewnemu ograniczeniu z dojściem do władzy Nader-szaha w r. 1930 i odejściem od planów modernizacji kraju. Ożywiły się znów w latach 50-tych, szczególnie w okresie gdy premierem był kuzyn ówczesnego króla Zaher-szaha, Mohammad Dawud /1953-63, późniejszy prezydent/. W r. 1955 Amerykanie odmówili Afganistanowi pomocy wojskowej, gdyż wierny swej zasadzie neutralności, nie przystąpił do paktu CENTO. Amerykanie obawiali się, że Afganistan użyje broni przeciwko Pakistanowi, z którym był w konflikcie na tle rewindykacji ziem etnicznie pasztuńskich. W tej sytuacji ZSRR, podsycający ten konflikt i popierający ruch na rzecz "wielkiego Pasztunistanu", zaofiarował Afganistanowi swoją pomoc militarną. Od 1956 zaczęła napływać broń radziecka, a oficerowie afgańscy masowo byli wysyłani na szkolenie do ZSRR. Gdy wskutek zaostrzenia się napięć w stosunkach afgańsko-pakistańskich w r. 1963, Pakistan odmówił Afganistanowi tranzytu, ofiarowała go władzom Moskwa, zyskując w ten sposób kontrolę nad afgańskim handlem zagranicznym.

Po wojnie ustalają się w Afganistanie dwie faktyczne strefy wpływów - rosyjska na północy i amerykańska na południu kraju /USA są w tej sytuacji spadkobiercą Imperium Brytyjskiego/. Największym bodaj przedsięwzięciem amerykańskim była wielka tama na Helmandzie

i zagospodarowanie doliny tej rzeki. ZSRR rozwinął w swojej strefie działalności wszechstronną - budował drogi strategiczne, łączące różne regiony kraju z punktami granicznymi, lotniska /lotnicza baza wojskowa w Bagram/, porty rzeczne, elektrownie, fabryki, szkoły techniczne. Od lat 50-tych Rosjanie prowadzą w północnym Afganistanie poszukiwania geologiczne, już w latach 60-tych eksploatają afgański gaz ziemny /po cenach 4-krotnie niższych od światowych/, naftę i węgiel. Blokują za to projekt nawodnienia stepów północnego Afganistanu, całą wodę z Amu-darii rezerwując dla własnego rolnictwa. Wszechstronne kontakty z Afganistanem rozwijają też inne kraje Bloku Wschodniego, szczególnie Czechosłowacja i Polska.

Monarchia afgańska zawsze była, w mniejszym czy większym stopniu, władzą oligarchii plemienną. Dynastia była pasztuńska i element pasztuński rządził krajem, niejednokrotnie dyskryminując starą inteligencję perskojęzyczną, nie mówiąc o innych grupach etnicznych /szczególnie pogardzaną i eksploatowaną grupą byli zawsze szyicy Hazarowie/. Podobnie jak na sąsiedni Iran, tak i na Afganistan II połowy lat 30-tych pewien wpływ wywarła nacjonalistyczna ideologia niemiecka /miało to związek z polityczną i ekonomiczną ekspansją III Rzeszy w tej części świata/. Także i tu, wśród części elity popularną była ideologia, w której koncepcja aryjskiego pochodzenia narodu afgańskiego zastąpić by miała poczucie przynależności do wspólnoty muzułmańskiej. Za najczystszych przedstawicieli rasy aryjskiej uważali się Pasztuni. Elementy tej koncepcji przejęła w jakimś stopniu propaganda oficjalna w Afganistanie. Pasztunizacja życia politycznego i kulturalnego forsowana była konsekwentnie przez cały okres powojenny. Towarzyszyła temu kolonizacja ludnością pasztuńską terytoriów innych grup etnicznych.

W niepodległym Afganistanie kilkakrotnie podejmowane były próby demokratyzacji władzy. W latach 1923, 1931 i 1964 wprowadzano kolejne wersje konstytucji, udoskonalające stopniowo system parlamentarny. Dla większości narodu miało to jednak bezpośrednio znikome znaczenie, a duża część innowacji konstytucyjnych pozostawała abstrakcją. W rzeczywistości czynnikami wewnętrznymi ograniczającymi władzę królewską były z jednej strony wpływy ozłonków domu panującego, innych znacznych rodów oraz ważnych przywódców plemiennych /w pewnym stopniu autoritetów religijnych/, z drugiej strony - nieudolność samej tej władzy w kraju zdeintegrowanym, niedostępnym, pozbawionym sprawnej administracji, komunikacji, środków masowego przekazu. Odległe prowincje i regiony górskie, a także plemiona koczujące, kontrolowane słabo albo wcale, rzadziły się własnym prawem zwyczajowym i żyły własnym, niezależnym życiem. Tradycyjnie przedstawiały też sobą siłę militarną, z którą musiał się liczyć rząd. Ale niesprawność nie oznacza liberalizmu. W społeczeństwie agresywnym i równocześnie żyjącym w stałym poczuciu zagrożenia, gdzie nadal obowiązuje zemsta rodowa, a poszczególne grupy tradycyjnie walczą między sobą na śmierć i życie, władza też jest brutalna, jeśli ma możliwość działania. W Afganistanie grupą najdotkliwiej odczuwającą na sobie kontrolę rządu była zawsze nieliczna inteligencja w Kabulu i innych dużych miastach - zarówno ta tradycyjna, z wykształceniem muzułmańskim, jak i nowoczesna, kształcona na Zachodzie lub w miejscowych szkołach typu europejskiego. Próby tworzenia organizacji politycznych najczęściej kończyły się więzieniem, ambitne czasy miały krótki żywot.

Jednym z rzadkich okresów liberalizmu były lata 1964/65 kiedy miało miejsce ogłoszenie nowej konstytucji i pierwsze wolne wybory.

W czasie kampanii wyborczej ujawnił się szereg różnego typu ruchów politycznych, wśród nich Ludowo-Demokratyczna Partia Afganistanu /Hezb-e-Demokratik-e-Chald-e-Afghanistan, dosłownie: Partia Demokratyczna Ludu Afgańskiego/. W rzeczywistości była to sterowana z Moskwy partia komunistyczna. Początkowo tworzyło ją kilkudziesięciu kabulskich intelektualistów, głównie Pasztunów. W późniejszych latach rekrutowała członków spośród wojskowych /szczególną rolę odgrywała tu szkolona w Moskwie kadra lotnicza/, studentów, nauczycieli, urzędników. Ze wsią partia ta nie miała żadnego kontaktu, klasa robotnicza prawie nie istniała. W początku lat 70-tych LDPA liczyła kilka tysięcy członków.

W wyborach 1965 członkowie LDPA zdobyli 4 mandaty /Tarski, Karmal, Anahita Ratebzad, -?/. Jako poseł, Babrak Karmal przyczynił się walcnie do podsypania rozruchów studenckich, które pociągnęły za sobą ofiary w ludziach i upadek rządu. LDPA musiała zejść do podziemia już w r. 1966, po zamknięciu redagowanego przez Tarskiego, a wypełnionego propagandą moskiewską tygodnika Chalk /Lud/. W r. 1967 doszło w LDPA do rozłamu na tle przywództwa i strategii działania, powstały dwie frakcje, nazywane od swoich organów prasowych - Chalk - Tarskiego i Parczam /Sztandar/ - Karmala, które zróżnicowały się też później pod względem składu społecznego. Parczam był bardziej elitarny /wyżsi urzędnicy, intelektualiści, oficerowie/, zdominowany przez Pasztunów i reprezentujący skrajny nacjonalizm afgański, lecz równocześnie gotów /już w latach 60-tych! / przyłączyć Afganistan do ZSRR za cenę szybkiego osiągnięcia komunizmu. W celu zdobycia władzy jednak dopuszczali parczamowcy utworzenie szerokiego frontu demokratycznego z nie-komunistami. Dzięki swej zręczniejszej, bardziej demagogicznej propagandzie utrzymywali się oni w życiu publicznym, podczas gdy Chalk pozostawał w podziemiu, co pogłębiło rozłam. Frakcja Chalk działała w bardziej ludowym środowisku, wśród drobnych urzędników, nauczycieli, szeregowych żołnierzy, większy procent jej członków pochodził z prowincji i mniejszości narodowych /choć kierownictwo było głównie pasztunskie/. Chalk opowiadał się za rewolucją totalną i za klasycznym, marksistowsko-leninowskim modelem partii, nie dopuszczał żadnego kompromisu z elementami umiarkowanymi. Równocześnie chciał suwerennego Afganistanu i autonomii dla mniejszości narodowych.

Od partii komunistycznej oderwał się ruch Setam-e-Melli /"Uciśk Narodowy" / Tahera Badachaziego, skłaniający się ku Chinom i stawiający sobie za cel walkę o prawa mniejszości narodowych w północnym Afganistanie. Klasycznie maciastowski charakter miał też ruch Szoleje-Dżawid /"Wieczny płomień". Od połowy lat 60-tych działa też w Afganistanie szereg ugrupowań o innych orientacjach politycznych, takich jak nacjonalistyczny pasztunski Afghan Mellat /"Naród afgański", socjaldemokratyczny i prozachodni Mosawat /"Równość", zaczynają się polityczne ruchy muzułmańskie - w początku lat 70-tych powstaje Szazman-e-Dżawan-e-Moselman /Organizacja Młodzieży Muzułmańskiej/, później przekształcona w Hezb-e-Eslami-je-Afghanistan /Islamską Partię Afganistanu/, pod przywództwem Heikatjara i Rabbaniego.

17 lipca 1973 obalona została monarchia a do władzy doszedł Mohammad Dawud /były premier/, jako prezydent republiki. Fatalnie zadowolona społeczność, która poprzedziła przewrót, spowodowana była głównie dwuletnim okresem wielkiego głodu w Afganistanie. Zamasz dokonały jednostki wojskowe dowodzone przez szkolonych w Moskwie oficerów, w jego przygotowaniu brał udział komunist /Parczam /instruowani przez ambasadę radziecką. Na krótki czas partia komunis-

tyczna dopuszczona została do władzy. Dawud, znany ze swoich sympatii moskiewskich już jako premier, teraz usunął z rządu prozachodnich ministrów, a na ich miejsce powołał czterech parczamowców, w tym dwóch generałów - autorów przewrotu. Wszystkich ich jednak odsunął od władzy w następnych latach, usiłując stworzyć własny system monopartyjny.

Zmiana monarchii w republikę niewiele zmieniła w Afganistanie. Władza pozostała w rękach tej samej grupy etnicznej a nawet rodzi-ny, nie poszerzając w żaden sposób swej bazy społecznej. Dawud nie zrealizował zapowiedzianych przez siebie reform /w tym bardzo potrzebnej reformy rolnej/, nie zrobił nic w kierunku rozwiązania palących problemów społecznych /należały do nich m.in.: wielkie dysproporcje ekonomiczne, istnienie rozległych obszarów permanentnego niedożywienia, fatalny system agrarny, brak przemysłu i w związku z tym bardziej lub mniej ukryte bezrobocie, brak służby zdrowia i szkolnictwa, dyskryminacja mniejszości niepasztuńskich/. Dawud wzmocnił za to kontrolę państwa nad życiem obywateli, rozbudował aparat represji /na jego zamówienie Niemcy Zachodnie zbudowały ogromne więzienie Pol-e-Czarchi pod Kabulem/ i tępił bezlitośnie wszelkie przejawy opozycji. Opozycja ta rozrastała się w miarę jak rosło rozczarowanie społeczne. Składały się na nią odsumięte od władzy i ponow nie zepchnięte w podziemie ugrupowania lewicowe, ruchy mużułmańskie, prześladowane w imię "postępu" i "walki z obakurantyzmem", ruchy mniejszościowe i wroszcze liberalna elita intelektualna. Latem 1975 w kilku prowincjach północnego i centralnego Afganistanu wybuchło powstanie mniejszości narodowych, zorganizowane przez Setam-e-Melli. Według niektórych źródeł w pewnych regionach uczestniczyła w nim też Hezb-e-Eslami-Bekmatjara. Powstanie zostało krwawo stłumione, relacje mówią o masowych rozstrzelaniach i zakopywaniu uczestników żywcem do ziemi.

O ile ruchy mniejszościowe miały w dużej mierze charakter ludowy i prowincjonalny, to członkowie partii lewicowych i rewolucyjno-muzułmańskich rekrutowali się głównie spośród sfrustrowanej nowej inteligencji /czy, według europejskich kryteriów, pół-inteligencji/. Mimo niedowładu systemu oświaty, procent ludzi z wykształceniem wyższym i średnim /dającym już w Afganistanie stosunkowo wysoki status społeczny/, wzrósł wyraźnie w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Ludzie ci nie znajdowali w kraju zatrudnienia na miarę swoich aspiracji, nie mieli żadnych perspektyw rozwoju, żadnego wpływu na losy kraju, którego bolączki dostrzegali. Często nie potrafili już akceptować konserwatywnej, patriarchalnej obojętowości swojego społeczeństwa, nie mając równocześnie do wyboru żadnych autentycznych wzorców alternatywnych. Byli radykalni i naiwni, podatni na wszelkie proste ideologie, dające receptę na ulepszenie świata. W roku 1977 sytuacja w Afganistanie była już bardzo napięta. Nasiliła się zarówno agitacja komunistyczna, jak i represje rządu. W tych warunkach doszło do taktycznego zlania dwóch skłóconych frakcji LDPA - Chalk i Parozam.

Możliwe, że tym, co przesądziło o losach Dawuda, był jego zwrot w stronę zachodu. Nie rezygnując ze współpracy z ZSRR, nawiązał on bliskie kontakty gospodarcze z Japonią i prozachodnimi krajami naftowymi /Arabią Saudyjską, Kuwejtem/, zadbał o poprawę stosunków Afganistanu z sąsiadami - Iranem i Pakistanem; planowana była m.in. budowa linii kolejowej Teheran-Kabul, pod koniec swych rządów Dawud przestał popierać ruch na rzecz "Wielkiego Pasztunistanu", którego przedtem był wielkim orędownikiem.

LEKSYKON wyświechtanych pojęć

Dziś tylko jedno hasło - /ale jakie!/- zgłoszone osobiście przez Naczelnego. Jeśli tak dalej pójdzie będę chyba zmuszony przejść do "Żołnierza wolności"...

L E N I N - Wł. Władimir, syn Ilji, Ułjanow; ur. 1870 /Symbirsk/ + 1924 /Górki pod Moskwą/.

a. Z materialistycznego punktu widzenia **LENINEM** jest wyłącznie to, co znajduje się w specjalnie wybudowanym dla celów kultowych pojemniku, stanowiącym razem podstawę trybuny honorowej na Krasnej Płozozadi w Moskwie /ZSER/ dla jednego po prostu mumia, dla innych relikwia, w każdym razie - zwłoki. Z uwagi na specyfikę miejsca, czasu i okoliczności a także poziom techniki i technologii nie można wykluczyć, iż są to zwłoki kogoś zupełnie innego, lub w ogóle atrapa, niechże jednak odpoczywa w spokoju.

b. Do pewnego stopnia są również **LENINEM**: osada **BIALORUSKA** n. rzeczką Mięreją; miasteczko ałtajskich **KAZACHOW** do r. 1941 zwane **Ridder**; **Tatarska Wieś Nowa Piśmianka** /do 1955 r./; dawne m. **ORMIAŃSKIE Aleksandropol**; wieś nad Iną w Zagłębiu **KUZNIECKIM** do r. 1925 nosząca nazwę **Kolozugino**, miasteczko **UZBECKIE** w Kotlinie Fergańskiej i drugie co do wielkości m. w **TADZYKISTANIE** /do 1936 r. **Chodżent**/; wreszcie **ROSYJSKI Sankt Pietierburg, Piotrograd** czyli **Petersburg** u ujścia Newy do Zatoki Fińskiej. Interesuje Cię to? Mnie nie - podobnie jak dawny **Pik Kaufmanna** /7, 134 m npm/ w **Pamirze**. Ciekawe jednak, jak długo to potrwa...

c. W jeszcze mniejszym stopniu jest **LENINEM** nieprzeliczony zbiór ryoin, posążków, piasko-

rzeźb, gemm, medali i orderów, fotografii i plakatów oraz ołtarzyków, rozmieszczonych w mieszkaniach oraz lokalach na całym świecie. Od plakatu w studenckiej klitce na paryskim poddaszu poprzez pomnik w pewnej nowohuckiej alei aż do Mauzoleum moskiewskie, od znaczków pocztowych różnych krajów aż po filmy fabularne - uff, z pewnością trzeba byłoby liczyć to w dziesiątki milionów - tak, jak ofiary bolszewickiej rewolucji w rachunku narastającym.

c. Ponadto jest jeszcze dorobek pisarski, zwany **Dzielaми LE-NINA** lub też **Wiecznie Żywnymi Ideaми** /ale to tylko przenośnia/. Jest tego bardzo dużo w różnych językach i rozmaitych wersjach, tak że przy małym wysiłku można znaleźć odpowiedni akurat cytaty na każdą okazję. Pisał dużo, ponieważ miał mnóstwo czasu i dobre warunki tam, dokąd uciekał lub był wyrzucony: z Rosji do Szwajcarii, ze Szwajcarii do Rosji, z Rosji na Syberię, potem znowu do Szwajcarii, znowu do Rosji i znowu do Genewy i Paryża... Ostatni raz wyrzucono go z Rosji do Finlandii i tam warunki musiały być gorsze, ponieważ zaraz po napisaniu kolejnego utworu wrócił i stanął na czele. Trwało to pięć lat - konsekwencje trwają nadal. Miejmy nadzieję, że już niedługo, bo to bardzo męczące.

Na mój osobisty użytek **LENIN** to pierwsza z długiej serii postaci, które przyczyniały się w bieżącym stuleciu do uprawdopodobnienia hipotezy, iż XIX-wieczny pomysł na sprawiedliwy ustroj społeczny zwany "socjalizmem", był absurdalny. Obecnie - dzięki twórczym kontynuatorom L. - wiemy to już na pewno. Należy, nie brak np. na Zachodzie leni-

wych uczniów, którzy tej lekcji nie brali i choǳ się przekonać na własnej skórze o tym, co jest grane w rytm Międzynarodówki. Z okazji Pierwszego Maja składam im

serdeczne życzenia: Proletariusze wszystkich krajów, na mliłość Boską, wyiǳcie się, póki nie jest z a p ó ż n o !

e20P

MAX BRODA

(fragment powieści)

40 lat później

„ nagroda w dziale
NOWELA-OPOWIADANIE

Padalo. Ciężkie chmury oliwianej barwy przesuwaly się ślimaczo po niebie. Władysław Stryczek, pracownik poczty państwowej, zbliżał się szybkim krokiem do miejsca swej codziennej pracy. Odruchowo podniósł głowę i spojrział na zegar umieszczony na gmachu poczty. Od ponad piętnastu lat, to jest od chwili gdy po krótkim kursie przygotowawczym został skierowany do pracy na poczcie, nie mógł się odzwyczoić od tego nawyku spoglądania na tarczę zegara. Właśnie pierwszego dnia jego pracy, w mechanizmie osasomierza ooś zgrzytnęło i wskazówki zegara zatrzymały się na godzinie dziesiątej czterdzieści pięć. Od tego dnia zegar nie zmienił swego oblicza, tak jak dawniej wskazywał nieodmiennie tę samą godzinę. Można się było tego domyśleć po wyraźnej brudnej linii ułożonej z ptasich odchodów, śladzie po zagubionej malej wskazówce, na którą z taką lubością siadały gołębie. Być może, także i cyferblat był bardziej wyblakły a farba, którą go pokryto przed wielu laty łuszczyła się szybciej niż poprzednio.

Stryczek pchnął drzwi, uważając aby wiszące na naderwanym zawiasie skrzydło nie obociło mu palców, oo zdarzyło się już kilku klientom. Swoi, zatrudnieni w gmachu, wiedzieli o tej niemiłej właściwości. Z rutyną stałych bywalców uderzali w nie nogą, popychali łokciem i nim świszcząc zatoczyły drogę powrotną umykali przed nimi, nurkując do hału poczty. "Nurkując", słowo jak najbardziej na miejscu, bowiem tuż za bramą znajdował się głęboki wykop, miejsce po dawnych poszukiwaniach metali kolorowych, umieszczonych, jak słusznie rozumował naczelnik poczty pułkownik Kurdzielec, we wnętrzu przewodów telekomunikacyjnych. Prawda, że po rozpoczęciu prac przez brygadę odzysku surowców wtórnych pod łopatami poszukiwaczy skarbów ukazywał się już niestety tylko koszułki kabli. Miedź, mosiądz i żelazo wyciągnął wczesniej ktoś inny. Od tej chwili, na skutek zrozumiałego zniechęcenia, nie było już komu zasypać dołu. Przez pewien czas położono nad nim deskę, ale gdy pewnego uroźnego dnia posłużyła na opał w gabinecie naczelnika Barłoga i z tym dano sobie spokój.

Stryczek wszedł do pokoju. Już od progu podrażnił mu nozdrza uwodzicielski zapach kawy zbożowej. W kącie na taborecie stał pordezwiał prymus, nad paleniskiem którego w aluminium kubku bulgotała smolista ciecz. Oboć maszynki, podkrepcając płomień, kuciał młodsz pracownik Jan Piśko. Na jego ramionach w szarym świetle padającym przez zakratowane okna, poblyskiwały pojedyncze belki, funkcyjna szarza czytaka.

- O, mocium panie Piśkiewicz, dogadzacie sobie niewąsko - powiedział Stryczek od drzwi ujawniając swoją obecność. Miał nadzieję, że niższy stopniem kolega nie odmówi mu poczęstunku kawą. Podszedł do czytaka i protekcyjnie klepnął go w plecy. Piśko wyprostował się. Nie lubił zwozaju, któremu hołdował Stryczek, zmieniania nazwisk przez dobudowywanie im różnych końcówek. Ponadto targaly nim sprzeci-

ne uczucia. Z jednej strony chętnie wypiłby kawę sam. Z drugiej wiedział, że lepiej żyć w zgodzie ze starszym rangą kolegą. Wściekł był na siebie, że kawa nie zagotowała się wcześniej, ale dostał wczoraj marny jakości spirytus i płomień ledwo wydostawał się z palnika. Usłużnie jednak zwrócił się w stronę Stryczka.

- Panie Władysławie, pozwoli się pan poczęstować filiżanką. Sięgnął do szuflady biurka i postawił na stole dwie puszcзки po stu pięćdziesięciogramowych konserwach. Pamiętajce z zamierzczej przeszłości. Były już tak zniszczone, że trudno było odcyfrować napis na ich obwodziu.

- No, nie róbcie sobie kolego kłopotów - powiedział Stryczek bez przekonania. Tymczasem Piśko rozlewał kawę do puszek zwanych wykwintnie filiżankami.

- Ile koledze posłodzić? - Piśko zatrzymał w powietrzu rękę z pastylkami sacharyny - dwie czy więcej? - zapytał, badawczo spoglądając na niespodziewanego biesiadnika.

- Cztery, wiece lubię słodsza.

Pastylki plusnęły do puszek pozostawiając na powierzchni rozchodzące się koła. Po chwili, gdy proces ich rozpuszczania się ustał, co można było poznać po zniknięciu bąbli i rozejściu się piany ku brzegom, obaj pocztowcy sięgnęli po puszkę.

- Marna dziś pogoda - podjął Stryczek - na taki dzień nie ma nic lepszego niż kawa albo - mrugnął znacząco - coś mooniejszego. Głowa wskazał w stronę prymusa.

- Ach, nic z tego, już próbowałem. Znowu dodają do spirytusu jakiegoś świństwa. Zupełnie nie idzie tego przeiknąć.

- Szkoda - mruknął Stryczek - z prymusa czy nie, zawsze to jednak spirytus.

Od czasu do czasu podbierał Piśko z maszynyki kieliszeczek piynu ale tylko wtedy, gdy ten był nieobecny w pokoju. Fakt, że ostatnio w Monopolowni dolewali do paliwa jakiegoś świństwa wywołującego torse i nie było siły wychylić kielicha.

Pili wolno smakując każdy łyk.

- Istny Wersal kolego - zwrócił się do czytaka Stryczek. Ze znawstwem mlaskał i strzelał językiem w podniebienie. - Dobra, gdzie to się wam udało kolego zdobyć takie wspaniałości?

- A, to od ciotki - Piśko spojrział szybko w stronę drzwi i ściszył głos - ona na kogoś w ministerstwie, tylko cicho-sza - zrobił tajemniczy znak w powietrzu.

- Rozumie się - porozumiewawczo zruzył oczy Stryczek. A w głębi duszy pomyślał: Piśko ma dojście do ministerstwa, trzeba się mieć na baczności i okazywać mu większe zainteresowanie, to się może przydać w przyszłości. Znajomość z Piśką może kiedyś zaprocentować. Niby to otrzepując mundur poglądził z czułością trzy belki na ramieniu, dystynkcje niściarza. Przydałaby się i czwarta beleczka poprawiacza normalizatora.

Drzwi do pokoju otworzyły się z trzaskiem i wszedł listonosz dźwigając przed sobą torbę z korespondencją.

- Koledzy, robota na dzisiaj - rzucił listy na biurko Piśki - to dla czytaka. A to - zwrócił się do Stryczka podając mu pakiet ostemplowany trójkątną pleoczęcią - zajęcie dla was. A później dodał szeptem:

- Mam klienta na parę pozycji. Interesują go głównie listy miłosne. W tym zestawie - wskazał na dostarczony pakiet - jest coś w tym rodzaju panie Władku.

Gdy za listonoszem zamknęły się drzwi Piśko splunął na ster-
tę listów.

- Czy to podobne do czego panie kolego. Znowu tyle roboty. Czy ja to mam wszystko przeczytać za jeden dzień? Nie wygrałem oczu na loterii. Gdyby chociaż pisali krótsze listy, a tu masz: rozpisują się nieraz na kilka stron, piszą niewyraźnie, maczkiem, z błędami, wy-
blakłym atramentem, wytartym ołówkiem. Gdyby nie to - zniżył głos do szeptu - że spodziewam się awansu, rzuciłbym tę robotę w cholere.

- Co? Spodziewa się pan zostać zgiębiaczem treściowym? No, no, gratuluję kolego.

Ależ ten Piśko ma chody. Ciotka, ministerstwo, kawa, muszę się z nim zaprzyjaźnić, może i sam coś przy tym skubnę. Poklepał go po ramieniu. - Wytrzyma pan to jakoś. A to - wskazał na listy - nie trzeba się tak przykładać, można i po łebkach przelecieć, przerzucić i jakoś zleci.

- Dobrze wam tak mówić - Piśko rozejrzał się bacznie - nie wie pan kolego, że ci z centrali też piszą, takie listy-pułapki. Błada czytakowi, który to przepuści. Wiedzą wszystko: kiedy nadane, kto dostał do rozpracowania. Pamięta pan przypadek Waligłowy? Tak się dobrze chłop zapowiadał, podeszali mu listy-sprawdziany. Akurat był zmęczony, czytaliśmy dużo i opuścił co nieco. Na drugi dzień już go nie było. Ot, co.

Stryczek pamiętał o tej historii z Waligłową. Był to wiodący przykład na kursie przygotowawczym do funkcji czytaka.

- No, to do roboty - odstawił puszkę po kawie - była niezła. Usiedli przy biurkach szurając taboretami. Czytak rozpoczął mozolne rozklejanie listów nad parą. Do stolika doprowadzony był przewód wprost z kotłowni. Wystarczyło tylko przycisnąć pedał a strużka pary cichutko sycając wykwitowała z blatu biurka. W niektórych przypadkach Piśko posługiwał się szczypcami zgrabnie nawijając na nie kartki papieru i ostrożnie, nie uszkadzając kopert, wysuwał je na zewnątrz. Jaśniejsze koperty prześwietlał na trójpoziomowej lampie. W trudniejszych przypadkach bezlitośnie rozrywał koperty. Później przeadresowywał je dbając o dobór kopert /miał ich wiele rodzajów w szufladzie/ i wiernie naśladowując pismo. Tak przeadresowane listy były nie do odróżnienia od oryginałów. Nie darmo ozytacy przechodzili szkolenie grafologiczne. Na zajęciach z kaligrafii Piśko wyraźnie przodował. Kierownictwo poczty było z niego zadowolone i być może to właśnie stało na przeszkodzie przed ewentualnym awansowaniem go. Trudno będzie znaleźć kogoś tak równie zdolnego. Czytak wyciągnął pierwszy list. Poprwił się na siedzeniu i zagłębił w lekturze.

- To coś dla was kolego, posłuchajcie.

Stryczek podniósł głowę i nadstawił uszu. Piśko zaczął czytać: "...kochany Józku. Minęły całe trzy tygodnie, kiedy ścisłaś mnie w swoich stalowych ramionach. Ach, co to były za upojne dni. Twoja malutka ocuipinka i Ty przodownik frezerów. Czyż może być większe szczęście ukochany Ty mój, gdy razem pójdziemy na festyn, ja prządka i Ty frezer stalowy. Czekam z niecierpliwością, aż zakończy się kurs i znowu przyjedziesz do mnie. Jestem cała..."

- Pokaż no pan ten list - Stryczek wyciągnął rękę w jego stro-

nę - zobaczymy czy się nada.

Wziął szarobrunatną kopertę. Gdy ją obracał chcąc odczytać adres, ze środka wysypał się bawełniany kurz.

- Pisała w robocie - stwierdził.

- No, niekoniecznie - odezwał się z nutką powątpiewania w głosie Piśko - przecież one tam w fabryce żyją cały dzień. Na górze robota, pod podłogą spanie. W ten sposób oszczędzają na komunikacji i nie ma spóźnień. A kurz, zrozumiałe, sypie się z góry, wciska w posłanie, w kieszeń...

- Jaką kieszeń - przerwał Stryczek - przecież w myśl 365 uchwały robotnikom w pracy nie wolno posiadać żadnych kryjówek, w tym i kieszeni.

- No tak, ale może w chustkę na głowie, za kołnierz, za fartuch coś wpadnie. Później to się roznosi po wszystkim. Tak to śmieci fabryczne trafiają na nasze biurka.

Czytając pochylił się nad kolejnym listem. Pracował w skupieniu przebijając nogami. Stryczek rozzerwał banderolę na listach przeznaczonych do zniszczenia. Był to owoc pracy nocnej zmiany. Do zadań niściarza należało skontrolowanie wyniku pracy kolegów z oddziału zgłębiaczy treściowych i podjęcie ostatecznej decyzji co do losu listów poleconych opiece poczty. Stryczek przeglądał korespondencję i pracowicie układał ją w przegródkach. Po lewej przeznaczone do zniszczenia, pośrodku te, które przekazywał wyżej poprawiaczom normalizatorom, po prawej zaś dla służb specjalnych: ośrodka badania opinii publicznej i służb inwigilacyjnych. Nie były to jednak wszystkie miejsca, gdzie składał przejrzaną korespondencję. Część listów wciskał pod bluzę munduru. Ciekawsze teksty wędrowały tą drogą do zbieraczy i kolekcjonerów. Za dobry list miłosny można było otrzymać okrągłą sumkę od różnych hobbystów i maniaków seksualnych. W ten sposób Stryczek dorabiał do urzędowego wynagrodzenia.

I tak kręciła się ta codzienna karuzela. Czytający czytali. Czego nie mogli poprawić na miejscu lub mieli wątpliwości - przekazywali zgłębiaczom treściowym. Ci z kolei dokładnie zapoznawali się z treścią, szukali dwuznaczności, ukrytych myśli lub co gorsza, zaszyfrowanych objawów niechęci do ludzi z otoczenia Pierwszego Skryby. Następnie swój trud podejmował niściarz. Teksty przeznaczone do unicestwienia wprost z biurka niściarza pędziły, połamane przez rury pneumatyczne z wielu pięter wprost do kotłowni. W końcu dawały ludzkom ciepło. Bez względu na to, czy były to zarliwe listy miłosne czy zwykłe przekleństwa, płonęły w tej samej temperaturze. Prawda, że w chłodniejsze dni dorzucano do nich i listy całkowicie prawomyślne. Cóż, ludziom musi być ciepło. A dobre człowieka było przecież celem nadrzędnym. Na szczycie drabiny pocztowej pracowali poprawiacze normalizatorzy. W celu podtrzymania korespondencji, a przede wszystkim dla uczynienia jej taką jaką życzyły sobie władze, no i w końcu we własnym interesie życia poczty, należało utrzymać obieg korespondencji. Bez zabiegów poprawiaczy zanikła by ona całkowicie. Normalizatorzy czynili zapisane kartki papieru miłymi i znośnymi. Przeinaczali fakty, zdarzenia i uczucia. Godzili zwaśnionych wkładając w ich usta nigdy nie wypowiedziane słowa. Poróżniali przyjaciół i kochanków, przekręcając ich zaklęcia miłosne czy dowody sympatii w nienawistnie brzmiące epitety. Zmuszało to piszących do wysyłania kolejnych listów przeprosin lub sprostowań, zaprzeczeń bądź potwierdzeń. Niektórych udawało się skłócić na zawsze, kochanków rozdzielić, rodziny rozbić.

Pomiędzy skrzynkami pocztowymi panował niesłychany zamęt. Jeśli nawet ktoś nigdy wcześniej nie otrzymywał korespondencji poprawiaćce usuwali te nieprawidłowości. Informowani o takich dziwach przez listonoszy, którzy codziennie sporządzali raporty doręczeń listów w swich obwodach, sporządzali ciepło brzmiące listy od nieistniejących krewnych, zaginionych bliskich /wyciąg nazwisk do tego celu otrzymywali z policji/, nieoczekiwanych znajomych. To zmuszało odbiorczywaną taką nieoczekiwaną korespondencją do pisania sprostowań, stawiania pytań, budziło niezdrówą i próżną zresztą nadzieję, którą przez pewien czas starano się podtrzymywać kolejnymi listami. Ważne było to, że ludzie pisali. Obieg korespondencji nie wygasł, życie było normalne i spokojne. Dopóki istniała poczta była i nadzieja, że przecież któryś z listów jest prawdziwy, a wzruszenia adresatów nie są daremne. Nad tym wszystkim zaś górował olbrzymi gmach poczty. która czyniła się samowystarczalną.

Pewnie przyjdzie taki dzień - pomyślał Stryczek - gdy pozostanie nam już tylko pisać do samych siebie. Ale od czego technika. Wiedział, że w piwnicy stoją zamknięte w skrzyniach maszyny samopiszące. Gdy zabraknie ludzkich rąk one stworzą poczucie życia, zapiszą tysiące kart papieru, których co najwyżej nie trzeba będzie czytać tak uważnie. Znowu listonosze połączą do domu wołając od progu "list do was drodzy krajanie, list z daleka" /to co, że napisany przez maszynę na sąsiedniej ulicy/. Nim się ktoś połapie, nim wzruszona matka zrozumie, że wiadomość o odnalezionym synu to bujda, nim okazały spadek od tajemniczego wuja okaże się fikcją, nim porzucona żona doczeka się wiarobornego męża, nim wszyscy się zorientują, że ktoś z nich zakpił, listonosze długo jeszcze będą biegać po ulicach z wypchanymi torbami roznosząc fałszywe wiadomości. A my, pocztowcy, będziemy potrzebni tak długo, jak długo będzie funkcjonować potrzeba porozumienia się pomiędzy ludźmi, a z nią mowa i przekazywane znaki odzwierciedlające jej treść.

Z zadumy wyrwał Stryczka głuchy stuk. Podurwał głowę, otworzył oczy i spojrział w stronę czytaka. Piśko leżał całą górną swoją połową w poprzek blatu. Noga spoczywająca nadal na pedale pary drgała nerwco. Wokół głowy czytaka unosiła się mglista aureola. Ręce bezwładnie zwisały poza powierzchnię stolika.

- Co to was kolego, co wy? - Stryczek zerwał się z taboretu i wolno podszedł w stronę Piśki. Potrzęsnał nim ostrożnie, bez rezultatu. Uniósł głowę czytaka za zawilgocone od pary włosy. Na twarzy nieprzytomnego wystąpiły niezliczone już bąble, ślady oparzeń od bijącego z blatu strumienia gorącej pary.

- Co wy? - powtórzył bez przekonania, po czym upuściwszy głowę czytaka na biurko, rzucił się szybko do włącznika alarmu. Zbił szybko i z całej mocy wcisnął przycisk. Odpowiedziała mu cisza.

- Nie działa - pomyślał z trwogą - co robić?

Podbiegł do drzwi i zaczął w nie bębnić na zmianę, to pięściami, to nogami. W zdenerwowaniu zapomniał o kłamec.

- Otworzyć! Otworzyć! - krzyczał głośno.

Doktor Strzępka szedł ulicą Młodej Dyktatury.

- Nadzwyczajne wydanie! Wybory wygrane! - rozległ się donośny głos gazeciarza.

- Hej chłopcze, dano to.
Strzępa przywołał ruchem ręki roznościela gazet. Wyciągnął z kieszeni dziesięcioszkarbka, monetę z wizerunkiem Pierwszego Skryby i rzucił ją w stronę wyrostka. Chłopak z wdzięcznością spojrział w stronę doktora. Weisnął monetę za pazuchę i podał pismo.

- Wreszcie ktoś to kupił - pomyślał.
Oficjalny organ rządowy kupowany był niechętnie. Najlepiej rozchodził się w chłodne dni na rozpaikę lub w pobliżu sklepów, po dostawie towarów, gdzie szybko zamieniał się w lejkowate tutki przypominające róg obfitości. Strzępa przystanął i rozłożył olbrzymią piachtę "Wodzireja". WYBORY WYGRANE - strzelisty czerwony tutuś biegł przez całą szerokość gazety... "wczoraj w lokalach wyborczych - czytał Strzępa - obserwowano od pierwszych chwil głosowania bardzo wysoką frekwencję. Nastroj był uroczysty, pełen powagi. Cechowała go dumna i radość z dotychczasowych osiągnięć oraz wola realizacji nowych zadań wytyczonych przez rząd. Wyborców cechowała niezwykła ofiarnością. Oto garść przykładów. Mieszkańcy górskiej wioski Zagórzanka, odciętej lawiną na wiosnę ubiegłego roku, już tydzień wcześniej przedzierali się przez zwały kamieni, błota i śniegu aby zdążyć do punktu wyborczego. Młode matki, wprost z izb porodowych, unosząc na rękach nowonarodzonych obywateli udawały się do lokali wyborczych nadając dzieciom imiona Posełek, Wyborczak czy też Głosujek. 98-letni Wiesław Kobiałka zwłókił się ze stołu operacyjnego i mimo otwartego złamania obu nóg doczołgał się na miejsce obywatelskiego posterunku podając kartkę wyborczą z uśmiechem na ustach, za co zebrał rześnate oklaski całego personelu medycznego. Wszystkie młode pary wraz z gośćmi weselnymi rozpoczęły swoje półście od aktu wyborczego, a umierający od ostatniej posługi. Chłopcy i dziewczęta głosujący po raz pierwszy długo płakali ogarnięci szczerym wzruszeniem. Było rojno, wesoło i patriotycznie".

Strzępa uśmiechnął się z przekąsem. Nie dalej jak wczoraj brał udział w komisji wyborczej. Aby zwabić mieszkańców rozdawali landrynki, papier toaletowy i asygnaty na margarynę. Pomimo to do południa odwiedziło ich zaledwie kilka osób. Nawet kartki za nie trzeba było wrzucić samemu, porywali prezenty i w nogi. Po południu było nieco lepiej, kiedy to policja zaczęła ciężarówkami zwozić opornych bądź leniwych. Włeczorem pędzono już piesze kolumny wyborców. Rannych, chorych i niedołężnych przynoszono na noszach. Sam przecie wtykał w dłonie starców i ślepców ołówki chemiczny i prowadząc ich dłonie kreślił znak krzyża na TAK. Zresztą nie było innych rubryk przewidzianych odmienne zdanie. W nocy, przed zamknięciem punktu, czekali na telefon z centrali. Wrzucać wszystkie kartki za nieobecnych czy nie wrzucać? Po północy przyszła decyzja - tych wszystkich, którzy nie zdążyli głosować pozbawiono naprędce praw publicznych ratując w ten sposób statystykę wyborczą. A dzisiaj - proszę, imponujące wyniki: 99,9% ogółu obywateli oddało swe głosy na jedyną słuszną listę kandydatów rządu. Wysoka frekwencja. To był główny cel tych obrzędów zwanych wyborczymi. Strzępa nie jeden raz uczestniczył w Komisji. Po podłożeniu głosów odbywał się jubel. Na stół wjeżdżały dawno nie widziane smakołyki i wódka. Nad ranem wracali z kieszeniami wypchanymi dupotarem i cukierkami. Było, minęło - pomyślał doktor - dopiero za cztery lata następnym bankiet.

Zajrzał na ostatnią stronę gazety. Kronika policyjna. "GOŁĘBIOŻERCY. Dzisiaj we wczesnych godzinach rannych policja ujęła na gorącym uczynku dwóch osobników, wyjadających karną przeznaczoną

dla gołębi. To kolejne przestępstwo gospodarze spowoduje zapewne konieczność opróżniania placów publicznych w chwili wykładania karmy dla ptactwa. Osobnicy wybierający z asfaltu okruszyny zostali przekazani do dyspozycji prokuratora".

Strzępa z niedowierzaniem pokręcił głową. Do czego to już dochodzi.

MAX BRODA

KINO i ŻYCIE

Szpital na peryferiach czyli kogo powinien kochać pionier

Znam wielu ludzi, którym podobają się czeskie filmy. Wyraźnie podkreślam, że chodzi tu o filmy czeskie, gdyż kinematografia słowacka nie zaznaczyła w większym stopniu swej obecności na naszych kinowych i telewizyjnych ekranach. Przeciwnie rzecz się ma z kinem czeskim, zalewającym nas swoją - jako się rzekło dość u nas lubianą - produkcją. Za co lubi się kino czeskie? Spróbujmy odpowiedzieć na to pytanie, na podstawie choćby serialu "Szpital na peryferiach", mającego niezwykle powodzenie, porównywalna jedynie do zdobytego przez "Niewolnicę Isaure".

Niewątpliwie serial to bardzo sprawnie zrealizowany, doskonale grany, słowem dzieło zaiste profesjonalne. Nie to wszak że przyniosło mu sukces, lecz szczególna aura, którą nazwałbym aurą weryzmu, charakterystyczną także dla ogromnej większości znanych mi obyczajowych filmów czeskich.

Ów weryzm rozumiem tutaj jako dążenie do "przedstawiania życia prostego ludu i krytyki stosunków społecznych". Mamy więc na ekranie "prosty lud": kierowców, pielęgniarki, ekspedientki, ale także lekarzy. To ci, z którymi widz łatwo może się utożsamić, przyjąc ich mało skomplikowane, bardzo potoczne

problemy niejako za własne. Drużgi człon definicji weryzmu niezbyt daje się zastosować, gdyż krytyka stosunków społecznych w czeskim filmie ogranicza się wyłącznie do oceny stosunków międzyludzkich, wypreparowanych z kontekstu, mających miejsce w obrębie owego prostego ludu. Nie ma tu zatem żadnych relacji człowiek-władza, są natomiast miłosne czy jakiegokolwiek inne perypetie, konflikty i związki.

Piody werystycznej koncepcji artystycznej zawsze się podobały i zawsze podobać się będą. To oczywiście, wszak melodramat - najcudowniejszy gatunek twórczości dla każdego - jest właśnie najlepszym, najjaskrawszym przykładem wykorzystania werystycznej formuły. Lecz tkwią w niej zdradliwe pułapki.

Najpoważniejsza z nich, z punktu widzenia sztuki, polega na budowaniu, w oparciu o werystyczną formułę, nieprawdziwego, zredukowanego światła otaczającego równie nieprawdziwych, choć "podobnych" do prawdziwych, bohaterów. Z tego połączenia powstaje totalny fałsz, tym groźniejszy, że mający pozory prawdy.

Czeski film, podobnie jak na przykład wojenna powieść sowiecka, stanowi dobry pokaz pułapki weryzmu. Niby wszystko jest w nim prawdziwe: od zwyczajnej, po-

tocznej scenerii, na reakcjach ludzi kończąc. A jednak... świat werystycznego kina czeskiego jest bardziej fantastyczny niż wszystkie części "Wojen gwiazdnych" razem wzięte.

Aby w pełni wyjaśnić, o co mi idzie, odwołam się do jednego, ale za to najmocniejszego ze znanych mi przykładów, spoza kina czeskiego zresztą. Bohaterstwo żołnierzy sowieckich podczas II wojny światowej, tak opiewane przez pisarzy najrozmaitszego talentu, jawi się w nieco innym świetle, gdy uświadomimy sobie, fakt, iż za ich plecami /żołnierzy oczywiście, nie pisarzy, choć i to niekiedy miało miejsce! stało NKWD, przed którym lek bywał o wiele większy, niż strach przed wrogiem. Lecz obecność tej "mobilizującej" siły została całkowicie przemilczana w reżymowej literaturze. Wiemy o tym z dzieł wydanych przez emigrantów rosyjskich na Zachodzie.

Film czeski, jako się rzekło, może się podobać. Oferuje widzowi złudzenie, pozor prawdy psychologicznej na tle pozornie prawdziwego społecznego pejzażu. Gdy jednak przyjrzymy się owemu pejzażowi baczniej, zaskoczy nas jego jednowymiarowość. Nie znajdziemy w nim podobieństwa do pounej rzeczywistości. Film w ogóle, a film werystyczny w szczególności, nie jest dobrym materiałem do poznawania społecznej rzeczywistości jakiegokolwiek kraju. Ta sentencja okazuje się w przypadku filmu czeskiego jeszcze raz aktualna.

Oczywiście fakt, że film czeski /w równym stopniu bułgarski, rumuński czy sowiecki/ nie ukazuje ani ślądźba prawdy o zmęczonym, upodlonym, zastraszonym i zdemoralizowanym narodzie, żyjącym od lat na kulturalnej pustyni /to nie moja konstatacja, lecz słowa, jeśli mnie pamięć nie myli Milana Kundery/ - nie dziwi. Nie dziwi także powodze-

nie takich filmów u nas: ludzie szukają w nich nie prawdy, lecz rozrywki. I dostają ją, w całkiem niezłym opakowaniu.

Studiowanie rzeczywistości czeskiej jest trudne i oglądanie czeskich filmów nie ma z tym nic wspólnego. Są lepsze, skuteczniejsze sposoby. O jednym warto jednak wspomnieć. Otóż, wielce zasłużone w indoktrynacji komunistycznej najmłodszego pokolenia Polaków piśmko harcerskie /słowo to należałoby chyba pisać w cudzysłowie, gdyż żyją jeszcze ludzie, którzy należeli do prawdziwego harcerstwa, a nie do dzisiejszej komсомolskiej poczwarki/ "Świat Młodych", opublikował "Mały poradnik dla wyjeżdżających do Czechosłowacji". Na 9 stronie tego dziełka, przykładu głupoty i zakłamania, przeczytać możemy o młodych pionierach, dzieciach w wieku od 8 do 11 lat. Dzieci te wychowywane są "u naszych południowych przyjaciół" /ze użyję tu kwiecistego zwrotu/ wedle sześciu tzw. pionierskich praw. Warto je przytoczyć, pamiętając cały czas, że przynależność dziecka do organizacji pionierskiej w Czechosłowacji, o czym nie raczyli poinformować czytelników "Świat Młodych", jest obowiązkowa.

Pierwsze prawo głosi: "PIONIER JEST ODDANY SWOJEJ SOCJALISTYCZNEJ OJCZYZNIE I KOMUNISTYCZNEJ PARTII CZECHOSŁOWACJI". Drugie jasno i zdecydowanie wskazuje, kogo pionier powinien kochać: "PIONIER JEST PRZYJACIELEM ZWIĄZKU RADZIECKIEGO, OBRONCĄ POSTĘPU I POKOJU NA CAŁYM ŚWIECIE".

Uff, może wystarczy, choć pozostałe prawa są niemal równie interesujące.

Tak oto, od weryzmu czeskiego kina, doszliśmy do pionierskich obowiązków miłowania Związku Radzieckiego. Droga z pozoru tylko okrzęzna, w rzeczywistości najprostsza i najlogiczniejsza z możliwych. Mówi ona o tym, że weryzmu w sztuce, jakkolwiek duże uznanie

zyskałby u odbiorców, wiedzie
bardzo łatwo na manowce kłamstwa,
dwulicowości i moralnie nagannej
gry. O ile, oczywiście jest to we
rytm uprawiany przez sprzedających

artystów, oferujących wiznawi
świat iluzji, pozbawiony znaczą-
cych odniesień do społecznej
rzeczywistości.

KRYSZ

WITOLD TOŚ †

AWITAMINOZA

nasze ręce nerwowe
poszukują drobnych
dokumentów i innych rąk
zaciśkających się gniewnie
zeglujemy przez noce
na ostatniej desce
pozostaje z zatopionego okrętu
i nie jest to deska która nas
wyniesie na spokojny brzeg
czepiamy się życia
na tyle tylko
ile wolno
więc nie żeby być
a przeżyć
od do

machinalne "W imię Ojca"
wiadomości sportowe kronika
wypadków i przestępstw zakupy
wizyty

tajemnicze znaki na murach
oś nar szepozą
skorodowany czas łuszczy się
dzień za dniem
wypada umrzeć
spokojnie
tylko spokojnie
pokornie zgasnąć bo dzieci
mogą nie dostać się
lub czegoś
ale póki jeszcze krew leniwie krąży
w wapniejących żyłach narodu
wciąż kielkuje nadzieja
i do końca trwać będą
długie nocne rodaków rozmowy

PROGNOZA

wyzieram z szuwarów
niepokoju
na mapie pogody
opancerzone pojazdy chmur
prognoza na jutro:
silne wiatry historii
grad
deszcz
i śmierć

RAPORT

u nas w Zimowym
spokój i ciepło
przy ludwikach szesnastym
grzejem dłonie
bezkrwawo
ozerwień tylko na sztandarach
powiesili jednego
czy dwóch
i Wasz portret

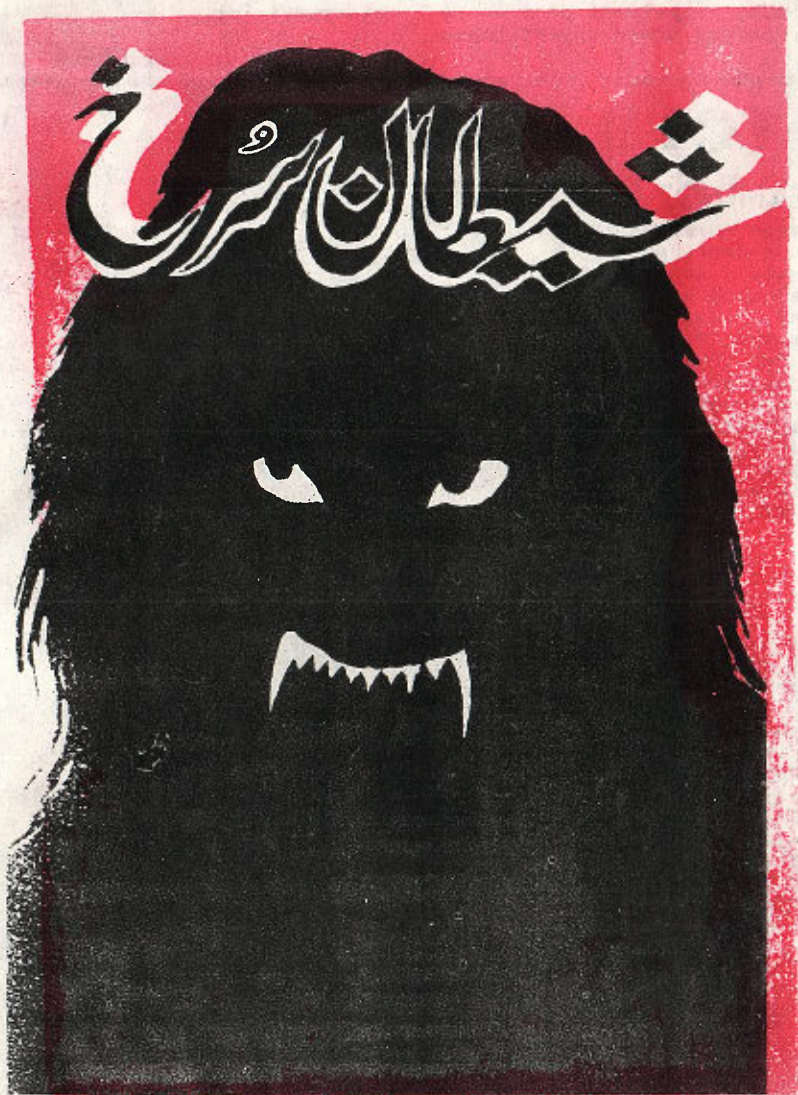
1983 - 85



Zginął tragicznie 7 sierpnia 1985 r.
Działacz KPN, sygnatariusz Obywatel-
skiej Inicjatywy w Obronie Praw Czło-
wieka, więzień polityczny lat 82/83.
Miał lat 28.

P o t w i e r d z a m y otrzymanie wpłat: Wolność - 1000; ooo -
11700, Andrzej Piastowski - 5640.

D z i ę k u j e m y .



WIDMO KOMUNIZMU

Jeden z plakatów afgańskiego ruchu oporu
Za paryskim KONTAKTEM 2/85 /

Cena 130 zł